

KUŹNICA

Rok III

Łódź, 2 kwietnia 1947 r.

Nr 13 (82)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

NOTATKI O TOŁSTOJU

Z MOJEJ podróży do Moskwy przy wozłem dar Związku Pisarzy Sowieckich — pełne wydanie utworów artystycznych Lwa Tołstoja. Nie rozstaję się teraz z tymi tomi — odczytując niektóre dzieła po raz nie wiem który — inne, zwłaszcza drobne, czytając po raz pierwszy. Na marginesie tych lektur porobiłem sobie notatki, którymi chciałem wyjaśnić sam sobie najsilniejsze wrażenia z dzieł Tołstoja. Są to uwagi pobieżne, nie mają żadnego znaczenia odkrywczego. Ale właściwie mówiąc, my wiemy tak mało o Tołstoj, że może te notatki pobudzą kogoś do większych, poważniejszych studiów, zachęcą do lektury lub do przekładów.

Rozumiem, że się ma dość Freuda i jego pansksualizmu. Ale żałuję, że Tołstoj nie znał Freuda — być może analiza psychologiczna pomogłaby jemu samemu wyplątać się z zagadnień, w które się uwikłał. Zadziwiająco, że Tołstoj przykłada tak wielką wagę do introspekcji — notuje najmniejsze odruchy swej duszy, najdrobniejsze pomyslenia i odchylenia, a tak niedaleko dochodzi w analizie własnego ja. Najciekawsze jest to, że kiedy wszystko pcha go do zerwania z własnym środowiskiem i do odejścia, którego spóźnione wykonanie nie już w biografii Tołstoja właściwie nie zmienia, — jednocześnie nie zdaje sobie sprawy, że to zerwanie jest dla niego niemożliwością, że w rzeczywistości nie chce zerwać wiążących go związków, i że cała jego filozofia jest w gruncie rzeczy pretekstem do pozostania tam, gdzie się dotychczas znajdował.

Buddyzm Tołstoja, teoria niesprzeciwiania się złu, to tylko majaki, wydobyte, „wymyślone”, po to, by pozostać w szponach tradycji i feudalno-patriarchalnym idealizmie, którego fałsz musiał się przeciw rzucić w oczy Tołstojowi po każdym spacerze po wsi jasnopolankiej.

To podsuwanie — niezmiernie sztuczne — wniosków, które były dla Tołstoja wygodne, zamiast tych, które logicznie z przesłanek przez niego założonych wypływały, możemy wyraźnie prześledzić w niedokończonym dramacie jego, tak zwanym przez niego „wielkim dramacie” (bolszaja drama) „A światło w ciemności świeci...”, który jest najbardziej biograficznym utworem ze wszystkich dzieł.

Bohater tego dramatu — Nikołaj Iwanowicz — portret samego Tołstoja — właśnie po takim spacerze wiejską ulicą, gdzie styka się ze straszliwą nędzą chłopów rosyjskiego, z jego głodem, z tragedią brania w rekruty itd., wraca do domu i zastaje w salonie dzieci swe i ich gości zgromadzonych przy fortepianie, na którym jedna z pań gra Chopina. Nikołaj Iwanowicz opowiada im o tym co widział na wsi i rzuca im pytanie: „jak wy możecie siedzieć tu nic nie robiąc i grać Chopina, kiedy tam dzieją się takie rzeczy?” Młodzież jest przejęta tymi słowami i pyta starego pana, co ma począć, jak zaradzić złu. Mimowoli oczekuje się hasła: „walczyć o lepsze jutro rosyjskiego ludu...” „Ale tu pada odpowiedź: „Oczywiście, nie brać udziału w tym złe...”

Charakterystyczne słóweczko „oczywiście” oznacza tutaj jak w wielu innych wypadkach, iż rzecz bynajmniej nie jest oczywista. Przeciwnie, konkluzja nieoczekiwana — i połowiczna. Wymyślona tylko poto,



Lew Mikołajewicz Tołstoj. 1851 r.

aby nie powiedzieć młodzieży: — „rzućcie to wszystko i idźcie walczyć i cierpieć”.

Jeden ze słuchaczy Nikołaja Iwanowicza bierze dosłownie jego kazanie do serca. Nie chce, brać udziału w złe, „za które uważa wojsko, przeznaczone do zabijania ludzi. Odmawia złożenia wojskowej przysięgi — pomimo namów matki, narzeczonej i niejasnej postawy samego Nikołaja Iwanowicza. Tragedia tego młodzieńca jest tematem dalszych części dramatu. Ofiara jego jest absurdalna i niepotrzebna, prowadzi do bezsensownej śmierci w szpitalu wariatów: umiera on, aby zadośćuczynić majakom Tołstoja. Zresztą cała ta część dramatu nie jest przez Tołstoja wyssana z palca: jest to historia ofiary jednego z jego zwolenników, z tą charakterystyczną różnicą, że w życiu zwolennik Tołstoja, który odmówił przysięgi wojskowej i został skazany na katorgę, był prostym człowiekiem, w dramacie jest księciem.

Ilekróż rozpoczynam czytać jakiś literacki utwór Tołstoja, mam wrażenie — i zawsze to samo — że wchodzę do ogrodu mocno pachnącego rezedą w letni przedwieczny czas, gorący i zwiastujący burzę. Atmosfera wszystkich powieści i opowiadań Tołstoja napełniona jest zgęszczonym i rozgrzanym powietrzem, w którym oddech nabiera pośpiechu, a serce poczyna stukać jak młotem.

Niewątpliwie przyczyna tego wrażenia leży bardzo głęboko w psychice samego pisarza i pochodzi od jego wszystko obejmującej i natężonej zmysłowości. Gdy przeglądamy jego dzienniki znajdujemy obok najważniejszych notatek: myśli o Bogu, świecie, państwie i sprawiedliwości — proste uwagi o zapachach i barwach. A to jak pachnie mięta, a to jaką barwę miał zachód słońca i jaki kształt obłoki. Wszystko

Tołstoj zauważa, wszystko ma dla niego jednakowe znaczenie — wszystko chłonie, pożera, posiada, aby potem nam oddać słowami w nieprawdopodobnej bezpośredniości i właśnie w tym kształcie, barwie i woni, jakie istniały niegdyś w rzeczywistości.

Ta chłonność Tołstoja na wszystkie zjawiska świata jest niechybnie jego najistotniejszą cechą i najgłębiej nam otwiera jego duszę, zresztą bardzo poplątaną i składającą się z warstw najróżnorodniejszych. Otwarte jego uszy i oczy przekazują nam bez przerwy przepych cały natury, piękność ciała ludzkiego (zadziwiająco, są opisy urrody męskiej, z takimi samymi szczegółami jak urody kobiecej — Anatol w „Wojnie i Pokoju”, młody podchorąży w opowiadaniu „Nabieg”) — wspaniałe dzieła sztuki — zwłaszcza muzyki. Jego opis wrażeń muzycznych w niewielkim opowiadaniu „Albert” jest zupełnie nieporównany i nie przewyższył go żaden opis muzyki w literaturze późniejszej.

Tołstoj zbyt dobrze znał siebie: aby nie zdawać sobie sprawy ze swego priapizmu — i wśród innych batalii swego życia wydał walkę swojej zmysłowości. Stąd pochodziło to, że każde ustąpienie zmysłom jednocześnie uważa on za upadek, i świadomość „grzechu” zatrzuwa mu owo „jasne” widzenie świata. Pod tym względem — jak i pod wielu innymi — Tołstoja można przyrównać do pierwszych chrześcijan, którzy w każdym przejawie świata odnajdywali ziarno grzechu i którym to poczucie grzechu nie pozwalało na proste przywiązanie do istnienia, na zwykłe życie w normalnych warunkach. Grzech spożywania mięsa, grzech picia wina — to były przestępstwa, których Tołstoj tak samo unikał jak cudzołóstwa czy kradzieży, za którą uważał nawet własność literacką.

Krytyka ideologiczna jest pierwszą fazą przełomu dojrzewającego w społeczeństwie. Na oczyszczonym gruncie poczyna się akt drugi — organizacji armii dziejowej, która wolna od pęt ideowych starego porządku przekształca urządzenie społeczne stosownie do potrzeb nowych sił wytwórczych.

Ludwik Krzywicki

TREŚĆ NUMERU:

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ — NOTATKI O TOŁSTOJU

JAN KOTT —

KAPITAŁY I FOLWARK

KAZIMIERZ BRANDYS — ROZMAITOŚCI

ZYGMUNT RADEK — DZIEWCZYNA W PŁONĄCYM MIASTECZKU

WŁODZIMIERZ SOKORSKI — SPRAWA REORGANIZACJI WYŻSZEGO SZKOLNICTWA

WANDA GRODZIENSKA — WIERSZ

PAWEŁ HERTZ — SEDAN

NA TEMAT KSIĄŻKI PROF. HIRSZFELDA

LECH BUDRECKI — FLAMANDZKI RABELAIS DZIEWIĘTNASTOWIECZA

NATALIA GAŚSIOROWSKA — MIĘDZYNARODOWE STOWARZYSZENIE UNIwersyteckich PROFESORÓW I WYKŁADOWCÓW

STEFAN OTWINOWSKI — W KEAKOWIE

KANDYD — TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK

PRZEGLĄD PRASY

KORRESPONDENCJA

NOTY

KOLUMNA SATYRY

Do wszystkich przeciwności jakie walczyły w duszy Tołstoja, do najważniejszej walki o światopogląd, w której z jednej strony widnieje wszystko co stworzyło Tołstoja — człowieka, klasa, społeczeństwo, moment historyczny — a z drugiej wszystko co Tołstoj myślał jako człowiek — przybywa jeszcze to zagadnienie walki ze zmysłami, które są tak wrażliwe. Moim zdaniem zagadnienie płciowe jest najpiękniejszą i najgłębszą tragedią Tołstoja, jego primum mobile, i tragiczne rozszczępienie w poglądzie na sprawy erotyczne warunkuje sobą wszystkie inne rozszczępienia. Grzech i świadomość grzechu istnieją w nim zwarte w tak głęboki sposób, że jakiś „upadek” młodości nurtuje w nim aż do późnej starości, i jak ziarenko piasku w konsze perłowej wytwarza tak wspaniałą perłę boleściową, jaką jest „Zmartwychwstanie”, to imaginacyjne, uzupełniające odkupienie winy popełnionej w młodości. A zmysłowość, pomimo wydanej jej walki, nie opuszcza go ani na chwilę — wystarczy przejrzeć parę kart z pamiętnika jego żony. — Jeżeli każde takie uniesienie zmysłów — za jedno tylko jakże ciężko musi pokutować ojciec Sergiusz — Tołstoj traktował potem jako niegodny chrześcijanina upadek i męczył się straszliwie jego wspomnieniem — to jakżeż straszne balansowania wzlotów i upadków, uniesień i żalów, światła i cieni przechodzić musiało wewnętrzne życie jego w ciągu długich lat jego ziemskiego istnienia. A trzeba dodać, że Tołstoj był przejęty zawsze „ważnością” tego, co się w nim działo. Niewątpliwa megalomania Tołstoja — jeżeli można użyć takiego słowa w stosunku do takiego olbrzyma — sprawiała, że wagę wszystkich swoich przeżyć wyolbrzymiał, w każdym razie nadawał im, skwapliwie je notując, znaczenie przerastające znaczenie jego prywatnych przeżyć. Nie ulega wątpliwości, że Tołstoj w drugiej połowie swego życia uważał, że zakłada religię, — opierając się, jak Mahomet, na wszystkich znanych przed nim naukach, wierzył że tworzy nowy kościół, prawdziwe chrześcijaństwo. W tym

nowym kościele, w myśl jego twórcy, nie było miejsca na sprawy, których Tolstoj tylko „częściowo” się wyrzekł. I właśnie w tej „częściowości” wyrzeczenia się dóbr materialnych, sławy czy zmysłowości — leżała najgłębsza tragedia Tolstoja.

Charakterystycznymi utworami Tolstoja, okazującymi walkę, jaka się w nim odbywała, są takie opowiadania dydaktyczne jak „Kreutzerowska Sonata” lub „Śmierć Iwana Iljicza”. Są to opowiadania o rodzinie, zagadnienia małżeństwa wysuwają się tutaj na plan pierwszy i oczywiście Tolstoj mówiąc o nich, bez wątpienia myśli o własnym małżeństwie, które — zwłaszcza w owej epoce — ma wszelkie pozory małżeństwa szczęśliwego, rodziny całkiem normalnej, jakkolwiek olbrzymiej. (Jak wiadomo Sofia Andrejewna urodziła mu trzynastoro dzieci) Tolstoj, chociaż nie śmie tego powiedzieć własnymi ustami, w obu tych utworach staje się wyraźnym przeciwnikiem rodziny. W każdy bądź razie dochodzi tutaj do myśli o zbędności rodziny człowieka żyjącego życiem duchowym. Gdyby Konfucjusz czy Budda byli żonaci, religie by ich nie powstały. Rodzina, małżeństwo były przyczyną śmierci Puszkina. Tolstoj zdaje sobie sprawę, że jego największym wrogiem jest jego żona, matka trzynastorga dzieci, która w imieniu tych dzieci i ich materialnej przyszłości staje przed nim jako największy przeciwnik wszystkiego co Tolstoj przeżył i przemyślał — i ona jedna nie daje mu u rzeczywistości i w czyn wprowadzić tego, co było jego ideałem i w takich warunkach zostaje tylko czystą teorią. Tolstoj nie może oskarżyć swej żony o zdradę; ale nienawidzi jej tak samo, jak jego opowiadacz „Kreutzerowskiej sonaty”, nienawidzi jej za zdradę duchową — i to nieprawdopodobnie żywo, prawdziwie i detalicznie opisane zabójstwo (opór gorsetu pod sztyletem) dane nam w „Sonacie”, — jest typowym opisem zastępczym. Tolstoj nienawidził Sofii Andrejewny, gdy występowała przeciwko niemu jako przedstawicielka ziemi i ziemskich — zrozumiałych zresztą z jej punktu widzenia interesów — ale musiał uznać w niej żonę i matkę swych dzieci.

Zresztą w tych samych utworach Tolstoj stwierdza, że to co poeci nazywają miłością właściwie nie istnieje, że są tylko zmysłowe uniesienia. Miłości — przyjaźni, miłości — zjednoczenia, miłości tworzącej z małżeństwa „jedno ciało i jedną duszę” nie znał i nie wierzył w jej istnienie. Może polegało to na tym, że nie znalazł w swojej życiowej partnerce osoby, która by mogła go zrozumieć — ale trudno pomyśleć, że w tak długim życiu, człowiek ten nie miał sposobności, nie miał możliwości poznania typu prawdziwej miłości. Chyba był już tak stworzony, że w miłość nie wierzył, zaznać jej nie mógł, a oczywiście każdorazowy szał zmysłów, po którym następowա-

ło bolesne otrzeźwienie nie mógł mu jej zastąpić.

Pojmany w takie sieci Tolstoj był nie tylko niewolnikiem warunków społecznych i politycznych panujących w carskiej Rosji. W długim szeregu wspaniałych możliwych i fantastycznych przodków jego wytworzyła się materia tego wielkiego człowieka, który w niezwykle silny sposób był związany ze swoją klasą magnacką, aż do jej idealizacji i do wiary w możliwość wejścia w wiek XX na zasadach patriarchalnych, wzorowanych nieomal że na obyczajach z czasów Abrahama i Izaaka.

Ale największe pułapki zastawiało na Tolstoja jego własne człowieczeństwo: rozumienie nie tylko tego co sam czuł, ale możliwość wczucia się w doznania bliźnich. W dramacie „A światłość w ciemności świeci...” — najbardziej jak powiedziałem osobistym dziele Tolstoja — argumenty przytaczane przeciw własnej nauce obdarzone są przez autora tak silnym życiem, taką mocą przekonania — że duet przeciwności nabrała wszelkich cech tragiczności.

Zagadnienie rodziny dublowane zawsze jest u niego zagadnieniem dzieci. Dzieci — tak jak je maluje, to zawsze „zawalidrog”, istoty stające jaknajbardziej na przeszkodzie duchowej doskonałości rodziców. Zawsze, wszędzie, — nawet w Annie Kareninnej dzieci są powodem pośrednim czy bezpośrednim tragedii rodziców. Naturalny rozdział między starym pokoleniem, a młodym, pogłębiony jest tutaj niechęcią jaką Tolstoj odczuwa do młodych, chcących żyć po swojemu. W pierwszym akcie tegoż dramatu, na który tyle razy tutaj się powołuję „A światłość w ciemności świeci...” jest taka scena, kiedy na werandzie domu bohater dramatu — autoportret Tolstoja — walczy o swoje pojęcia Boga i kościoła, — a dzieci jego przed domem grając w tenisa kłócą się o jakiś „out” i zarzucają sobie wzajemnie mówienie nieprawdy. Ta prawda Boga i prawda tenisa zestawione tak apodyktycznie razem krzywdzą niewątpliwie dzieci. W tolstojowskim mieszkaniu w Moskwie na nakrytym stole stoją obok siebie dwie wazy: jedna duża na mięsną zupę dla wszystkich, druga mała na zupę jarzynową dla wegeterianów, którymi byli w rodzinie Tolstoja tylko on sam i dwie jego córki, Masza i Sasza. Inne dzieci może nie tyle nie dorosły do poglądów ojca ile po prostu myślały po swojemu, czego ojciec ich nie chciał uznać. Oczywiście że Tolstoj otoczony był garstką pospolitych ludzi, którzy w jego genialności widzieli tylko pretekst do eksploatacji i cychali na każde słowo przez niego napisane, dlatego, że się dobrze sprzedawało w kraju i zagranicą. Ale Tolstoj niewątpliwie wymagał od nich zbyt wielkiego wysiłku przystosowania swojej myśli, która z jego myślą nie przeci-

nała się nigdy. Tolstoj dzieci niecierpliwie, odwracał się od nich, machał na nie ręką, przestał się nimi interesować i zajmować ich wykształceniem. Na pytanie dziennikarskie, jakie jest jego najsłabsze dzieło, Tolstoj odpowiedział bez wahania: „Lew Lwowicz”! Oczywiście, jeżeli dzieci swoje chciał uważać za dzieła, musiał doznać głębokich rozczarowań.

W „Śmierci Iwana Iljicza” widzimy dwoje dzieci bohatera, wyfiokowaną córkę, wychodzącą dobrze za męża i małego ucznia Wasię, jedynego z rodziny, który kocha ojca i rozpacza z powodu jego śmierci. Były tam jeszcze „jakieś” dzieci, ale powymierały. Jak u Tolstojów — gdzie z trzynastu żywych dzieci do dorosłości dochowało się tylko siedmioro. Wiemy o śmierci Nikolejki i Wanieczki? A gdzie jeszcze czworo? Gdzie się zapodziały, te „jakieś” dzieci, umarły nie uszczuplając swoją śmiercią ani ojcowskiej miłości życia, ani radości otaczającego go wonnego, dźwięcznego światła rosyjskiej wsi. Mały syn Iwana Iljicza ma podkrążone oczy, ojciec „wie dlaczego”, ale nie śmie powiedzieć z synem na ten temat, jak nie śmie w jakikolwiek inny sposób podejść do tej małej, nikłej duszyczki synowskiej. Z dumy, z pychy („że jest inny”) gardzi małością własnego dziecka, nie mogąc go podnieść do siebie, nie może się do niego zniżyć — i pozostawia syna w jego samotności i sam pozostaje samotny. Pomiędzy rodzicem a dzieckiem u Tolstoja niema porozumienia jak niema go i pomiędzy kochankiem a kochanką...

Panseksualizm Tolstoja przejawia rolę kobiety w społeczeństwie. Tolstoj — ten młody średniowieczny, który wymaga czystości w związkach małżeńskich (jest to chyba maximum wymagań chrześcijańskich) — a nie może się zdobyć na pogodzenie się z własną zmysłowością, na przyzwolenie swoim namiętnościom — z jednej strony idealizuje kobietę, z drugiej obrzuca ją oskarżeniami graniczącymi prawie z ciemnotą, której potęgę Tolstoj nie tylko opisywał, ale boleśnie i stale odczuwał.

Ów twórca takich postaci kobiecych jak Anna Karenina, Natasza Rostowa, Katia Masłowa — był w gruncie rzeczy wrogiem kobiet. Natasza Rostowa — w epilogu przekształca się na zaniebaną, niemal nie bardzo umytą, matkę małych dzieci; w dramacie „A światłość w ciemności świeci...” podług tego samego modelu (siostra żony, Tatiana Andrejewna Kuźminskaja) maluje Tolstoj postać potwornej, bezlitosnej, mogącej zamordować swą głupotą Aleksandry Iwanówny. Tworząc cudownego podlotka Nataszę — Tolstoj nie wąpi ani chwili, że wyrośnie z niej trudna w obcowaniu i dręcząca męża i całe otoczenie — neurasteniczna megera.

Pouczające w tym względzie jest zbada-

nie, jaki jest stosunek dramatu Tolstoja „Potęga Ciemnoty” do rzeczywistego, „fait divers”, z którego powstał pomysł tego dzieła. W rzeczywistości całym spiritus movens strasznej zbrodni która zdarzyła się w rzeczywistości, jest młody człowiek ożeniony ze starą wdową i romansujący z jej córką; zabija on nie tylko córkę nieślubną, którą spłodził ze swoją pasterbicą, ale i własne dziecko, sześciolletnią córeczkę, „której chciał oszczędzić okropności życia”. W dniu wesela swej pasierbicy wyznaje on swą zbrodnię i ponosi zasłużoną karę. Tolstoj przenosząc tego młodego człowieka na scenę daje mu przede wszystkim potworną matkę, Matronę, trucicielkę i dzieciobójczynię, pozornie łagodną wiedmę, która zna się na „babskich sprawach”. Wdowie, żonie zbrodniarza przypisuje Tolstoj jeszcze jedną zbrodnię: otrucie pierwszego męża w porozumieniu z Matroną. W kulminacyjnym punkcie dramatu, kiedy swatowie siedzą w chacie a swatana dziewczyna w stodole rodzi dziecko, matka, żona i kochanka zmuszają poprosto Nikitę do zamordowania nowonarodzonego. Podczas kiedy akta sądowe sprawy, z których Tolstoj korzystał dla napisania swojego dramatu, stwierdzają, że uczynił to z własnej nieprzymuszonej woli, bez żadnej namowy ze strony kobiet. W dramacie Tolstoja Nikita, kający się zbrodniarz staje się postacią prawie sympatyczną, a trzy „ciemne” kobiety, które go otaczają są niemal symbolami zła, przyczyną jego zapytania. Gdy jeszcze dodamy do tego postać ojca Nikity, Akima, prawdziwego rosyjskiego świętego — zobaczymy jak wielką powagę leży po stronie tolstojowskich postaci męskich i jak głęboko Tolstoj nienawidzi pierwiastka kobiecego.

Oczywiście twórczość odmierzona tylko latami przechodziła i pod tym względem fluktuacje i ewolucje, ale jak najnowszy badacz twórczości Tolstoja stwierdza, iż cała jego nauka religijna i filozofia znajdują się in nuce już w pierwszych jego, na pozór czysto artystycznych utworach, tak i ów pogląd na rodzinę i kobiety, jako na przeszkodę w duchowym doskonaleniu się mężczyzny, istnieje u Tolstoja od początku do końca, czasami tylko jaskrawo wysuwając się na pierwszy plan, jak w „Kreutzerowskiej Sonacie”, „Śmierci Iwana Iljicza” lub „Potędze Ciemnoty”.

Zwróćmy uwagę, że te dzieła to już raczej końcowe etapy twórczości, przypadające na te czasy, gdy osobiste doświadczenia rodzinne Tolstoja, przyniosły mu poważne rozczarowania. Bezpłodność wysiłków Tolstoja wyrwania się z sieci, jakie mu zgotowała jego własna zmysłowość, jest jeszcze jedną tragedią, jaką wewnętrznie musiał przeżyć ten wielki człowiek, męczennik swoich niezrealizowanych wier i przekonań.

Jarosław Iwaszkiewicz

JAN KOTT

KAPITAŁY I FOLWARK

Przedmowa do „Lalki” (I)

„Ile razy trafisz Polskę posiadającą w rente, ona odkrzyknie ci jak widmo spod Maciejowic”.

(Stanisław Brzozowski)

W lutym 1849 roku, w dwa miesiące po wyborze na prezydenta Ludwika Bonaparte głosami francuskich chłopów, pisał z Paryża Juliusz Słowacki do Teofila Januszewskiego:

„Co zaś do kupna i przykupowania ziemi, najmocniej się temu oponuję w duchu. Ziemi każdy człowiek powinien mieć kawałek taki, któryby go w ostatecznym złym razie, z pracy rąk własnych mógł wyżyć. Szczęście zaś człowieka, zbliżające się najbliższemu do szczęścia duchowego i rajskiego jest w wolności jego i w wolności połączonej z potęgą. A ta wolność jest w skrzydłach, a skrzydłami, które nas nad ziemią utrzymują są kapitały. Panowie nasi najwięksi ziemi są nędzarzami w porównaniu ze mną, który mam kilka tysięcy franków, lecz tak ruchomych, że je w każdym dniu mogę na jaki bądź czyn użyć, i przed wszelką mocą i przemocą zasłonić się niemi...”

Pisał tak Juliusz Słowacki w osiem miesięcy po zduszeniu czerwcowego powstania robotników paryskich, w chwili, kiedy objęła rządy partia porządku, w której połączyły się dwie dotychczas zwalczające się frakcje burżuazji: legitymiści i orleaniści.

Wielcy właściciele dóbr, panowie świeccy i duchowni połączyli się z kapitanami przemysłu, z bankierami, finansistami i kupcami.

„Ziemie obszerne — ciągnie dalej Słowacki w tym samym liście — robią cię egoistą, bo nie dbasz o ludzi ani o naród twój. Gdy przeciwnie w kapitałach mając nadmiar twoich sił cielesnych, dbaś o cały kraj, który za nie odpowiada. Mimowolnie musisz dobrze życzyć każdemu ze współzających.”

Gdy cię chce cię ujarzmzić, one cię unoszą przed nim i stawiają niby na gwiazdach, z których znowu ujarzmiciela twego piorunujesz. Gdy chcesz kogo uratować, w dniu jednym oddać możesz wszystko co masz, a twej miłości zadość uczynić...”

Tak w romantycznym, rozanielonym, przeduchowionym i rozgwieżdżonym języku została po raz pierwszy w naszej literaturze sformułowana pochwała władzy pieniądza i przewrotu cywilizacyjnego, jaki niosł kapitalizm. W tym samym stylu romantycznym Lamartine wyśpiewał swoją odę na cześć Rewolucji. Był to ostatni tryumf rewolucyjnego romantyzmu, po raz ostatni rewolucja ludowa przemówiła na Zachodzie romantycznym językiem.

„Kapitały, które są skrzydłami, utrzymującymi nas nad ziemią”, w liście Słowackiego miały treść bardzo konkretną. Rady, które z Paryża wysyłał gdzieś aż za Bro-

dy, oznaczały jasno i wyraźnie, że czas już przejść z gospodarki pańszczyźnianej na najemną, że zwyciężyć musi nowa forma gospodarki rolnej — kapitalistyczno-obszarniczy folwark, czynszowanie chłopów i wolny rynek pracy. — „Mówię więc — pisał dalej do wujaszka Słowacki — kawałek ziemi miej, i to nie wioskę, ale folwark bardzo obfity i zamożny, jeżeli trzeba kilku jeszcze takich folwarków zbuduj i puść chłopom parobkom w dzierżawę, ale nie zapuszczaj się w skupowanie wioski, ani sądzić, iż to jest pewne w dzisiejszych czasach... Nie wrastajmy w grunt jak dęby, ani chciejmy podobnej dębom trwałości; duchy dębów cierpią, że sobie na lat tysiące piekielna nieruchomość u Boga uprosiły, ptakom zazdroszczą, komarom nawet, które chwilkę żyją wesóło, w złotych słońca promieniu ulatując, gwoździuchowi, który ulatywać pragnie.

Nie, najdroższy mój, nie stawaj się panem klucza, bo się zamkniesz tym kluczem na długo — w ciele i w krwi i w głupocie ciężkiego szlachcica. A ty przez cierpienia już godzien wolności...”

Z porewolucyjnego Paryża jasniej było widać przyszłość. We Francji tryumfował kapitalizm, cywilizacja mieszczańska upajała się potęgą, bogactwem i postępami techniki.

A w kraju? Na kilka miesięcy przed li-

stem Słowackiego otwarta została pierwsza droga żelazna, linia kolejowa warszawsko-wiedeńska. Nie upłynęło jeszcze całych piętnaście lat od chwili, kiedy Ludwik Gajer sprowadził pierwszą maszynę parową z Anglii do Łodzi. Warszawa przez pół żydowska i niemiecka liczyła coś więcej ponad 100.000 mieszkańców. Łódź nie miała nawet trzydziestu, ale wartość jej produkcji fabrycznej przewyższała już milion rubli. Jednocześnie zmniejszała się liczba szkół, a opłaty były coraz wyższe. Szkolnictwo miało charakter stanowy. „Dla stanu kupieckiego, mieszczańskiego, a wedle możliwości i samych włościan — pisał minister oświaty hrabia Uwarow w sprawozdaniu za lata 1833 do 1843. — otwarte są przyzwoite drogi do edukacji stosownej do ich potrzeb, trybu życia i położenia w państwie”. Na te przyzwoite drogi do edukacji w całym Królestwie Kongresowym szło rocznie 32.000 rubli.

Co jeszcze w kraju! W tym samym czasie kiedy Słowacki wysłał swój list do Januszewskiego, Ignacy Rzecki i August Katz furą żydowską z placu Grzybowskiego, a potem obłożoną szosą w kierunku na Miłosne, wyruszają na pomoc powstaniu węgierskiemu. Rzucają sklep galanterijno-kolonialny na Podwale, w którym Jan Mincel w niebieskim, barchanowym kaftanie, białym fartuchu i szlafmycy codziennie o szóstej rano zasiadał przed kasą a o ósmej

Grossmutter przynosiła wielki dzbanek białej kawy. Ignacy Rzecki i August Katz ruszają bieć się za wolność, jak setki innych z tego „jedynego narodu Europy, który — jak pisał współcześnie Engels — walczył i walczy jako międzynarodowy żołnierz rewolucji“.

Co jeszcze z kraju? W porównaniu z Zachodem, albo chociażby z wstrząsem, jaki przechodzą Niemcy, nic albo prawie nic. Tylko polepsza się koniunktura gospodarcza, wzrasta eksport zboża z Królestwa Kongresowego do Anglii i coraz ostrzejsza walka toczy się między wsią i dworem. Zwycięzał jako typ gospodarki rolnej folwark, oparty o pracę najemną. A folwark oznaczał intensyfikację rolnictwa i rugi chłopów z ziemi. Tylko częściowo zahamował je ukaz Faskiewiczowski z roku 1846; rosły dalej folwarki kosztem małorolnych, a sproletaryzowany chłop szukał zarobku w miastach.

Jeszcze przemysł. Początki hutnictwa w Zagłębiu Dąbrowskim, pierwsze parostalki na Wiśle i rosnąca stała Łódź. Tak wyglądały do roku 1856 czy 57 wyspy kapitalizmu w feudalnym morzu Królestwa Kongresowego.

Zmiany przyniosła dopiero klęska Rosji w wojnie krymskiej, obnażyła nagle całą słabość caratu i zafałszowaną strukturę społeczną. Rosja weszła w okres reform: warunkiem rozwoju kapitalizmu był wolny rynek pracy, zakupów i zbytu. Nowy car ogłosił manifest o uwłaszczeniu włościan w cesarstwie rosyjskim. Fabrykanci domagali się szerokiego otwarcia granic dla importu. Potrzebowali maszyn, narzędzi i surowców. Bronili liberalizmu w polityce gospodarczej. Przed młodym przemysłem Królestwa Kongresowego otworzyły się rynki wschodnie. Tak się zaczęła oszalała kariera perkalików łódzkich.

Ten powolny proces wchodzenia Królestwa w obręb cywilizacji kapitalistycznej nie mógł się jeszcze odbić na literaturze i publicystyce w kraju. Tylko dalekie echa przemian, które dotarły do wiejskiego dworu, odczytać potrafimy z powieści Kaczkowskiego, czy Korzeniowskiego.

Nie ma jeszcze ideologów i obrońców postępu i nowych form życia, są natomiast już przeciwnicy. I to właśnie w tym samym roku 1857, który wstrząsnął po raz pierwszy feudalizmem rosyjskim. Oto Juliusz Klaczko, potępiając „Krewnych“ Korzeniowskiego, pisze:

„Czyż właśnie w epoce, w której wszystko maleje i powszednie nie potrzeba, aby przynajmniej poezja nam przedstawiała figury wielkie, idealne, aby wśród otaczającego nas zewsząd dymu, nie dźiał, ale kotłów, odsłaniała nam raz po raz czyste: jak najczystsze niebo Olimpu, aby nam dała poznać, poczuć i przeczuć choćby tylko, że jest jeszcze wyższa moralność nad dobrze zrozumianą Franklina i cudowniejsza jeszcze droga nad railway, ta która od serca prowadzi do Boga“.

Jedyny polski „railway“, w tym właśnie roku 1857, sprzedany został przez rząd prywatnemu towarzystwu, którego głównymi akcjonariuszami byli pruscy junkrzy. A dym z kotłów, oczywiście parowych, nie mógł znowu tak bardzo przesłaniać nieba, skoro robotników fabrycznych było w tym czasie w Królestwie najwyższej siedemdziesiąt tysięcy.

Jeszcze ostrzej i namiętniej przemówił w obronie ciszy i spokoju wsi polskiej Józef Ignacy Krasiński w powieści „Metamorfozy“. Ciągłe ten sam rok 1857. „O gdybyśmy — pisze — nasze skarby znać, cenę umieli, jakby dla nas ta uludna cywilizacja materializmu nic uroczonego nie miała! Jakbyśmy jasno w niej ujrzeli ziarno grzechu i pochodzenie pogańskie! Ale wielu



Ulica Rybnicka

Kamienne Schodki

z nas powraca zachwyconych geometrycznym ładem Europy, przemysłem dokazującym cudów, suchymi zjawiskami rozumów żydowskiego, a nie widzi, że u nas sily jeszcze, gdy tam starość niedoleżna, co się pol i pobudza, aby żyła potrosze, dury się i szaleje“.

To samo i w „Chorobach wieku“. „Znowu ten lek przed zakłóceniem bezruchu cywilizacyjnego, przed kapitalistycznym, uprzemysłowionym Zachodem: „Niech nikt nie dowodzi — pisze Krasiński — że można być najlepszym gospodarzem, agronomem, spekulantem, przemysłowcem — i najczulszym i najpotężniejszym z ludzi. To są podobno żywoły, które z sobą w parze nigdy chodzić nie będą... Przerobi się świat na wielki kantor gospodarczo-industrialno-komercyjny, ludzi na komisantów, książki na rejestra, życie na rachuby... Powiadają, że już tak jest wszędzie u rozumniejszych braci na Zachodzie... musimy więc naturalnie iść za przykładem cudzym i poprobować sobie także szczęścia... Czas wreszcie i nam zostać ludźmi rozsądnymi, zimnymi, praktycznymi... Nie! to coś okropnego! Ten ich świat naszym być nie może... czegoś więcej potrzeba człowiekowi nad strawę bydłą i gróź żydowski!“

To jeszcze ciągle ten sam rok 1857. Rzeczywiście, czegoś więcej potrzeba człowiekowi nad strawę bydłą... Brac szlachecka podaje sobie z ust do ust jako najważniejszą z politycznych nowin orację Andrzeja Zamojskiego, zakończoną tajemniczym: — „Czuje Polskę w powietrzu“. Pod przewodnictwem pana Andrzeja, ordynata na Zamościu, odbywa się pierwszy zjazd Towarzystwa Rolniczego, które uznało się za przedstawicielstwo narodu, za odnowiony sejm szlachecki. Wielodniowe obrady poświęcone były uregulowaniu kwestii włościańskiej dla dobra, jak mawiał Książę w „Lalce“ — naszego nieszczęśliwego kraju. Ale zjazd skończył się na niczym. Nawet projekty przymusowego oczyszczania włościan groziły przerobieniem świata „na wielki kantor gospodarczo-industrialno-komercyjny“.

Pocziwi ziemianie, wysuszający na Zjazdach Klemensowskich butelki z piwnic pana Andrzeja, nie zdawali sobie nawet dobrze sprawy, jak bardzo mają rację, lekając się panicznie najdrobniejszego choćby ruszenia owej „kwestii włościańskiej“. Od niej zależała nieruchomości świata, w którym żyli. Były to już jego ostatnie lata. Przełom przyniosła klęska powstania 1863 roku.

Od Insurekcji kościuszkowskiej do Powstania Styczniowego wielkim kołem napędowym historii Polski była sprawa chłopstwa. „Dokoła niej — jak słusznie pisze Witold Kula — obracała się problematyka ideowa epoki, ona stawała się próbnym oblicza ideowego jednostek i grup“. Walka o niepodległość związana była z emancypacyjnym ruchem mas ludowych, czerpała swoją siłę z kruszenia się zafałszanej struktury społecznej pod naporem technicznego postępu. Droga do wyzwolenia narodu wiodła poprzez wyzwolenie chłopów z niewoli pańszczyźnianej, poprzez objęcie powstaniem mas chłopstwa. Tę drogę wskazywały bunty chłopskie i rewolucyjni ideolodzy zradycalizowanej drobnej szlachty. Obalić przemoc feudalną i wywalczyć niepodległość mogło tylko po-

wstanie, które by przerosło w zwycięską rewolucję chłopką. Ale utorować drogę kapitalizmowi mogła albo rewolucja, albo zwycięstwo folwarku.

„Pozostałości feudalizmu — pisze Lenin w wielokrotnie cytowanym fragmencie o dwóch drogach burżuazyjnego postępu — mogą zanikać zarówno drogą przekształcenia gospodarstw obszarnczych, jak drogą zniesienia latyfundiów, czyli drogą reformy i drogą rewolucji.“ Klęska powstania przyniosła reformę zamiast rewolucji. Tę reformę przeprowadziła „Komisja Urządząca“ carskim ukazem z roku 1864. Chłop pańszczyźniany, któremu Napoleon dał wolność osobistą za cenę prawa do ziemi, uzyskał ziemię bez okupu i zniesienie wszystkich powinności wobec dworu. Do roku 1864 rósł folwark kosztem ziemi chłopskiej, ukaz uwłaszczeniowy zwrócił wsi blisko milion morgów gruntu. Rozpoczął się historyczny proces kurczenia się obszarniczej własności.

Z dwóch możliwych dróg kapitalistycznego rozwoju pozostała jedna. To nie miłtarzna klęska powstania, ale reforma rolna z roku 1864 przekreśliła, mimo swej połowiczności, cały dotychczasowy program ruchu narodowo-wyzwoleńczego, obaliła wszystkie rachuby na nowe powstanie. Dopóki chłop pańszczyźniany stał na przeciw dworu, szansą militarną powstania był udział mas chłopskich, szansą dziejową — rewolucja burżuazyjno-demokratyczna, szansą gospodarczą — utorowanie drogi postępowi technicznemu. Klęska powstania i reforma rolna z roku 1864 obalały cały ten program. Nowy program walki o niepodległość powstanie dopiero w chwili, kiedy dojrzą konflikty społeczne, jakie przyniósł rozwój kapitalizmu. W roku 1864 rozpoczęła się proces formowania nowej struktury społecznej, która dotrwała aż do końca drugiej wojny światowej. Rok 1864 przynosił początek nowych konfliktów klasowych: młodej parceli chłopskiej i obszarniczego folwarku, pracy najemnej i kapitału, warsztatu rzemieślniczego i fabryki. Z parceli chłopskiej, która nie może wyżywić wszystkich swoich dziedziców, z warsztatu rzemieślniczego, który nie wytrzyma konkurencji z fabryką, rodzi się proletariąt miejski. Z obdłużonego folwarku, który przegrywa w walce ekonomicznej, powstaje nowa warstwa inteligencji zawodowej.

Ona teraz dostarczy ideologów przewrotu cywilizacyjnego, apologetów społecznego i technicznego postępu, entuzjastów „pracy organicznej“. Taka jest geneza pozytywizmu warszawskiego i załamania się politycznego romantyzmu.

W ciągu niewiele lat odbywa się coś w rodzaju rewolucji intelektualnej. Rewolucji na wyrost! Garska inteligentów próbuje nadrobić wiek cywilizacyjny spóźnienia. Wiek dziewiętnasty! Rewolucję burżuazyjną, której nie było! Ideolodzy kapitalizmu w powiśniętych sięgają do wzorów dojrzałej myśli Zachodu z okresu triumfu mieszczaństwa. Studenci szkoły Głównej czytają z zapartym oddechem „Kursy Filozofii Pozytywnej Comte’a z trzydziestych lat wieku. Potem przychodzi Spencer i Mill, tłumaczenia Darwina, Buckle’a i Buchnera.

Typowym przedstawicielem okresu jest Aleksander Świętochowski, „Poseł Prawdy“, pierwszy i ostatni wolterianin polski, liberal i nacjonalista, ateusz i demokrat, Bro-

ROZMAITOŚCI

PRZEDWIOŚNIE SANDAUERA

Zawsze byłem zdania, że zbyt dobre samopoczucie gubi ludzi. Człowiek bardziej zadowolony z siebie, niż inni z niego, zaczyna robić głupstwa. Artur Sandauer potwierdził w pełni to przypuszczenie w swym felietonie p. t. „Zmowa literatów“ („Odrodzenie“ Nr 14). Mógłbym napisać, że ton i intencja tego felietonu są nieprzyzwoite, ale wolę sądzić, że są tylko niepoważne. Sandauer spodobał się sobie bardziej niż innym i zaczadził się. Należy mu się pomoc.

Każde niemal zdanie tego felietonu jest nieprawdziwe i rzuca przykre światło na autora. Sandauer sądzi, że jeśli przytoczy w cudzysłowie kilka sformułowań swych kolegów, którzy piszą inaczej niż on, i jeśli oddarzy je grymasem swego pióra, — wystarczy, aby zdobyć poklask. Otóż nie. Szanuję dobrą robotę, chylę głowę przed logicznym argumentem. Ale, darujcie, nie widzę przyczyny, aby krytyk, który w recenzji literackiej wyjaśnia postawę twórczą autora porównaniem do żydowskiego woziwody z XVIII w., miał prawo ganić innych krytyków, stosujących kryteria konieczności społecznej czy zasad metodologicznych! Wiem, co oznacza „warstwa znaczeniowa“, wiem, co oznacza „zasada metodologiczna“, lecz niech mi Sandauer wytłumaczy, jaki sens ma „żydowski woziwoda z XVIII w.“ w ocenie „Majora Huberta“ lub „Czystego nurtu“.

Jeśli Sandauer ochłonie z pierwszego zachwytu, sam zapewne zrozumie, że jego felieton składa się z insynuacji pod adresem literatury ostatniego dwulecia. Krytyce Sandauer zarzuca „zwyczaj operowania nazwiskami, znanymi jedynie ze słyszenia, cytowania książek, których się nigdy nie czytało, imponowania zapożyczoną z trzęsawicy ręki erudycją... styl, który utknął w pół drogi między Francją a Polską i nie dotarł nigdzie“.

Powtarzam: szanuję logikę i mocny argument. Ale to co wytacza Sandauer jest bezpodstawne. Niechże krytyk udowodni na tekście, — niech nas przekona logicznie, że on, Artur Sandauer, cytuje źródła z pierwszej ręki, a wszyscy inni — znane ze słyszenia. Że styl Sandauera dotarł wszędzie, a styl np. Kazimierza Wyki nie dotarł i utknął. Czy to są uczciwe argumenty? Czy na mocy tego zwyczaju Janina Pregierówna nie postąpi słusznie, jeśli jutro napomknie w „Odrodzeniu“ że jej styl dotarł wszędzie, a styl kolegów X i Y utknął między Samborem a Przylądkiem.

Dobrej Nadziei?

Złoty chochlik budzącej się wiosny prowadził zapewne dłoń Artura Sandauera. Bo oto pisze dalej, że „posłuszna wielu wymysłom i Bóg wie, skąd nawianym prawidłom artystycznym, proza nasza ignoruje uparcie zasady najbardziej prymitywne: kompozycję oraz konieczność zainteresowania czytelnika losami bohaterów“. Kogóż to dotyczy? Czy Zofii Nalkowskiej? Czy Jarosława Iwaszkiewicza? Tadeusza Brezy? Jerzego Andrzejewskiego? Wojciecha Zukrowskiego? Stanisława Dygata? Seweryny Szmagłowskiej? Ksawerego Pruszyńskiego? Jerzego Putramenta? Stefana Kisielewskiego? Jana Dobarczyńskiego? Heleny Bożuszewskiej? Jerzego Zawieyskiego?

Jeśli krytyk pisze wbrew opinii społecznej, aby dać wyraz swym własnym przekonaniom — jest to zaszczepione. Lecz jeśli krytyk pisze wbrew obiektywnej prawdzie — aby zadowolili swoje urojenia — że świadczy to o krytyku. Dziś, kiedy pisma literackie i książki polskie rozchodzą się w nakładach cztero i dziesięciokrotnie większych niż przed wojną, Artur Sandauer twierdzi: „nie wiem, czy kiedykolwiek literaci równie wiele pisali dla siebie nawzajem a równie mało — dla czytelników“. I dodaje: „W chwili obecnej w Polsce, aby być sławnym, nie potrzeba książek“. To prawda. Sandauer jako krytyk i prozaik nie zawdzięcza swej sławy wydawnym tomom — bo ich nie wydał. Mimo to uważam Sandauera za bystrzego krytyka i interesującego noweliste.

Ostatnia część felietonu wymaga ostrych pouczeń dla autora. Sandauer nie zastanowił się nad tym, co napisał, zapewne nie zdaje sobie sprawy, że penetracja w motywy psychologiczne wyboru ideologii jest zagadnieniem zbyt poważnym, aby zalać wiać się z nim w dwu zdaniach felietonu. Sandauer pisząc ostatnie słowa zapominał o obowiązkach rzetelności i za pomocą cienistych aluzji, dopuścił się kalumnii pod adresem przesłonięty, ostrożnym milczeniem. Czy to się godzi? Któż to, kolego Sandauer, szukał na przedce oparcia o jakikolwiek obóz i wybrał go raczej na chybił-trafił, nie powodowany wewnętrznym przekonaniem? Jeśli Sandauer nie podał nazwisk, które miał na myśli pisząc te słowa, niechże nam poradzi, co mamy sądzić o człowieku, którego nazwisko widnieje pod „Zmową literatów“. Kazimierz Brandys

ni wolności, wolności wolnej konkurencji, wolnej umowy najmu, którą robotnik i przedsiębiorca, wolni od przesądów narodowych, religijnych i stanowych, zawierają na równych prawach w wyniku wolnej gry sił na wolnym rynku pracy.

Pozytywizm jest optymistyczny, ceni reformy i rozsądną działalność gospodarczą, przekłada na język praktyki społecznej zasady utilitarystycznej etyki. Ufa w dobroczynny wpływ filantropii, wierzy w zbiawiającą rolę oświaty. Postępowo przesąd — oto dwa główne zawołania czasu. „Poezja dzisiejsza pisze Eliza Orzeszkowa w roku 1873 — stała się rezerwuarem, zbierającym w siebie i przechowującym w sobie wszelkie wyobrażenia, które pomiędzy ludzkością kredytu utraciły, z dziedziny życia zostały wygnane w kraj umarłych. Poezja dzisiejsza jest urną, do której w postaci męczących leż spływają wykluczone z głów ludzkich przesady. Wtedy, gdy ludzkość pracuje nad urzeczywistnieniem idei równości, ona ustanawia i przechowuje ostracyzmy nie tylko już kastowe, ale najróżnorodniejszych odcieni i gatunków. Ostracyzmem tym podlega w dziedzinie poezji mieszczanin, bankier, fabrykant, kupiec, podlegający im szare surduty, fraki, cylindry, maszyny, skalpele, lokomotywy; podlegają im całe epoki czasu, grupy ludności, kraje i ideje...

Jakby przeglądał album z fotografiami prababki... Te parę zdań Orzeszkowej pokazuje całą atmosferę ideową epoki. Przemiany pojęć, przemiany instytucji społecznych, przemiany świata rzeczy. Bankier, fabrykant, kupiec wyrastają na bohaterów przewrotu. Które to lata? Na wieść o proklamowaniu Ludwika Filipa królem Francji bankier Laffitte oświadczył: „Nadszedł czas panowania bankierów”. Było to w Paryżu, w roku 1830. A w Warszawie? W Warszawie rok 1873. Rozwija się wspólnie, przed trzema laty założony, Bank Handlowy. Ma już większe obroty od warszawskiego kantoru Banku Państwa. Dyskontuje weksle fabrykantów i kupców, udziela pożyczek pod zastaw papierów wartościowych lub na pierwszy numer hipoteki. Konkuruje z nim, założony w roku 1871, Bank Dyskontowy w Warszawie, i najmłodszy ze wszystkich, bo zaledwie od roku istniejący, Bank Handlowy w Łodzi. W bankach tych przeważa kapitał ziemiański. Coraz silniejsza jest współpraca pomiędzy kapitalizmem rosyjskim i polskim. Wyrasta nowa forma, nowy styl, nowy program ugody.

Szare surduty, fraki, cylindry... Pan Rzecki po zamknięciu sklepu przechadzał się po Krakowskim Przedmieściu w ciemno-zielonej algierce lub tabeckowym surducie, popielatych spodniach z czarnym lampasem i wypłowiwał cylindrze. A Wokulski, kiedy szedł na spotkanie w Łazienkach z panną Izabelą Łęcką, kładł jasny paltot i biały cylinder.

Maszyny, skalpele, lokomotywy... Już od dziesięciu lat do Petersburga można zjechać koleją, w roku 1866 nowozbudowana linia łączy Łódź przez Kołuszki z Warszawą. Liczba robotników fabrycznych przekracza 80.000, wartość produkcji fabrycznej Królestwa osiągnie już wkrótce zawrotną cyfrę stu milionów rubli.

„Ludzie, co z cyrklem, łańcuchem mierzniczym i łopata zdobywają dla cywilizacji przestrzenie ziemi, prostują drogi i budują koleje, większymi może są bohaterami, niż ci, którzy te drogi znaczą ogniem i mieczem”. Tak pisze Michał Bałucki w roku 1872, w powieści „O kawał ziemi”. I każe uwierzyć starym arystokracie, że „cyrkiel i cyfra nie wypędzają z duszy człowieka szlachetnych uczuć, że łoskot machin nie zagłusza głosu sumienia i fabrykant może mieć więcej poezji w duszy, niż ci, co się głoszą jej kapłanami”.

Sienkiewicz ogłasza opowiadania „Z teki Worszyli”. I pierwszym chyba dyrektorem fabryki w literaturze polskiej jest ów Maciej Iwaszkiewicz z opowiadania „Dwie drogi”, który o pannę z arystokratycznego domu Fannę Buńnicką ma mieć pojedynek z Jasiem Złotopolskim, również oczywiście arystokratą. Złotopolski zwiedza fabrykę:

„Wyszli z izb inżynierskich... Fabryka była w pełnym biegu... Warczenie kół, łośkot, zgrzyt, przeraźliwy świst i bolesne wycie pływającego żelaza, huk młotów, ścisła dusza jakimś nieokreślonym a lekłym przecuciem owej niepojętej siły, która nadawała ruch wszystkiemu...

— A co panie? — krzyknął inżynier do ucha Złotopolskiemu? Potęga! Potęga!”

Wobec czego oczywiście Jasiu Złotopolski rezygnuje z rywalizowania z dyrektorem fabryki o rękę pięknej arystokratki. Jak widzimy dla młodych pozytywistów fabryka była czymś bardzo z nieprawdziwego zdarzenia, bardzo groźnym i bardzo... hałaśliwym. Na pół sproletaryzowani wyrobnicy pióra głosili z całym zapalem słynne „enrichissez-vous!” Guizota, ministra monarchii orleańskiej i przywódcy arystokracji finansowej, ideologa bankierów i przemysłowców.

Bohaterem czasu jest inżynier. „Inżynier — woła Eliza Orzeszkowa — to ludzkość cała w swych dążeniach nieprzemyślanych ku wszystkiemu, co wielkie, piękne i dobre!” Są to jednak tylko pobożne życzenia. Inżynier jest bohaterem literackim, nawet i to nie! Bohaterem publicystyki! Iluż mogło być polskich inżynierów w roku 1870 w Królestwie Kongresowym? Byli ale dopiero w dziesięć lat później. I wtedy nie mogli znaleźć w kraju pracy. Musieli szukać jej w głębi Rosji, w Ameryce, albo jak nacfciarze, na Sumatrze, Jawie i Borneo. Symbolem literackim życiowej kariery wychowanków polskiego pozytywizmu jest, jak słusznie pisze Kula, ojciec Cezarego Baryki z „Przedwiośnia” Żeromskiego. Okres apologii rewolucji techniczno-przemysłowej, mitologii kapitanów przemysłu, entuzjazmowania się postępową cywilizacją i optymistycznej wiary w przyszłość nie trwał nawet całych lat piętnastu.

Już około roku 1875, a więc jeszcze przed właściwym zmierzchem pozytywizmu, urywa się niezmiernie gwałtownie. Za ideologami postępu cywilizacyjnego na Zachodzie, za jego myślicielami i pisarzami stało dojrzałe w walkach klasowych mieszczaństwo, zaprawione do władzy, rządzące państwami, mieszczaństwo, które przeprowadziło rewolucję techniczno-przemysłową. Kto stał za garstką entuzjastów „machin i skalpeli”, skupioną dookoła paru tygodników warszawskich. Parotysięczna rzesza inteligentów, rozbitków z dworu szlacheckiego? Drobną oficjalistów, urzędniczy, spauperyzowana szlachta, której nadzieje na awans społeczny zostały szybko i okrutnie zawiedzione? Może robotnik fabryczny, niedawno dopiero wy-

zuczony we wsi, który jeszcze w r. 1861, jak łódzcy tkacze, rozbijał warsztaty mechaniczne? Nie! A więc kto? Czy naprawdę mieszczaństwo?

Pozytywiści warszawscy byli ideologami kapitalizmu w powijakach. Ale nie wolno automatycznie przenosić analogii historycznych. Rozwijający się kapitalizm w Królestwie Kongresowym, to nie był kapitalizm Francji czy Anglii z trzydziestych lat wieku, to był obcy kapitał, który kolonizował kraj na pół feudalny i jaśniepański folwark, przejadający dochody z cukrowni i gorzelni za granicą. Z tych dwóch realnych sił kapitalizmu w Królestwie: obcego, przeważnie junkierskiego kapitału i arystokracji, wielkiego przemysłu o daleko posuniętej koncentracji kapitału, o wysokiej organizacji technicznej i magnackiego latyfundiów, każda należała do odrębnej formacji historycznej i społecznej, ale żadna nie była zainteresowana w rozwoju cywilizacyjnym kraju.

Obcy kapitał przerzucał po prostu fabryki za kordon graniczny, aby korzystając z protekcyjnistycznej polityki Rosji i taniej siły roboczej w Królestwie, dostać się na upragnione rynki wschodnie. Najbardziej brutalny wyzysk zapewniał mu nieproporcjonalnie wysokie dywidendy, które szły do berlińskich banków. Folwark i fabryka — wyspy w morzu prymitywnej, gospodarki kulturalnej. Tu już nie pasowała problematyka ani Spencera, ani Comte'a, ani Buckle'a. To nie był historyczny okres mieszczańskiego liberalizmu i cywilizacyjnej ekspansji. To był okres ekspansji kolonialnej monopolistycznego kapitalizmu.

W roku 1870 hasło Guizota *enrichissez-vous!* hasło pracy od podstaw skupiało ideologów przewrotu cywilizacyjnego, było programem walki z dziedzictwem feudalnym. W dziesięć lat później w r. 1880 bronili ono już tylko klasowego egoizmu i prawa do wyzysku. W ciągu dwudziestu lat wyrosła problematyka nowoczesnego klasowego społeczeństwa.

W tym okresie przemian i skoków, który w ciągu dziesięciu lat zmienił wygląd miast, wnętrza mieszkań, wzajemny stosunek do siebie klas społecznych, styl wyznań miłosnych, programy literackie i

książki w bibliotekach domowych, ważne są szczególnie daty.

Rok 1877: początek ruchu robotniczego, pierwsze organizacje socjalistyczne w Warszawie. W cztery lata później Ludwik Waryński tworzy pierwszą polską partię robotniczą „Proletariat”. Ruch robotniczy dorósł do walki strajkowej, rok 1880 przynosi pierwsze poważniejsze „zmowy”, jak je wtedy nazywano na fabrykach. W ciągu osiemnastu lat dziesięciokrotnie wzrosła produkcja, a trzykrotnie liczebność ludności Łodzi. Już jest ponad 9.000 fabryk w Królestwie, sto tysięcy robotników przemysłowych. I w tym samym roku 1880 Ludwik Górski pisze: „Mimo poniesione klęski, mimo warunki zmienione, dworek szlachecki jako ognisko polskości i myśli narodowej zawsze wyżej wystrzela ponad komin fabryczny”.

„W dwa lata później zostaje założone w Warszawie pierwsze pismo antysemitkie „Rola”. W rok potem, w roku 1884, wychodzi „Ogniem i mieczem” Sienkiewicza. Matejko jest u szczytu sławy. Folwark sięga do rodzinnych rezerw, wysyła do miasta kontusz szlachecki. W „Niwie”, która stała się organem konserwatywistów, T. J. Choński ogłasza program ugodowców: „W części politycznej postanowiono liczyć się z dokonanymi faktami, nie bawić się w t.zw. wielką politykę, pracować na drodze spokojnej, legalnej, nie zatracając jednak poczucia naszej narodowej, historycznej cywilizacyjnej odrębności... Wbrew postępowcom, którzy dążyli w myśl liberalizmu zachodniego - europejskiego do odjęcia szlachcie jej historycznego znaczenia, a postawienie na jej miejsce mieszczaństwa, uznali konserwatyści zmianę, istniejących u nas dotąd warstw społecznych między sobą, za nieistniejącą, za przedczesną.”

Rok 1886. Pojawiają się tłumaczenia Marks, Lassalle, Zoli, Dumasa. Wielka dyskusja o naturalizmie i obiektywizmie w powieści. Konne tramwaje. Łódź ma już 150 tysięcy mieszkańców, z czego jedną trzecią stanowią robotnicy fabryczni. Witkiewicz napada na malarstwo Matejki. W Warszawie ponury proces „proletariatczyków”, pierwszy w kraju sąd nad przywódcami socjalizmu, zakończony stawieniem czterech szubienic. Waryński oświadcza na rozprawie: „My nie stoimy ponad historią, my ulegamy jej prawom. Na przewrót, do którego dążymy, my patrzymy jak na rezultat rozwoju historycznego i społecznych warunków. My przewidujemy go i staramy się, żeby nas nie zastał nieprzygotowanymi”.

W tym samym roku J. L. Popławski pisze w „Głosie”: „Wypowiadamy walkę doktrynerom apostołów kosmopolitycznego socjalizmu, którzy nie pamiętają o tym, że lud nasz posiada własne pojmowanie szczęścia, nie dające się ułożyć w oderwane lub wzięte z obcego gruntu formułki. Lud posiada własną religię, własną moralność, słowem kulturę własną, której czynniki składowe nie mogą być uważane jako niższe formy odpowiednich kategorii kultury naszej”.

Mieszczanin stroi się teraz na przemian w kontusz i sukmanę. Synowie zacnych ziemian ze Zjazdów Klemensowskich pana Andrzeja wyrzuceni na bruk miasta, próbują po raz wtóry bronić świata, w którym żyją. Ale obrona toczy się już w języku innej ideologii. W okresie przed rokiem 1863, kiedy masy chłopów były rewolucyjną siłą postępu, obrońcy starego porządku bronili dworu, żyjącego z pracy pańszczyźnianej. W latach osiemdziesiątych kiedy ruch robotniczy stał się wielkim napędowym kołem historii i dorastał do prowadzenia walki o niepodległość, ideolodzy mieszczańscy postawili jako wzór cywilizacyjny: prymitywną gospodarkę zacofanej parceli chłopskiej.

Minęło zaledwie dwadzieścia lat od apologii „kapitanów przemysłu” i rozpędu cywilizacyjnego pierwszych pozytywistów. W roku 1887 Popławski jest jednym z założycieli „Ligi Polskiej”, która wkrótce przybierze nazwę Narodowej Demokracji. Tradycja i solidarność narodowa, szum husarskich skrzydeł i parzenie na spodniach.

W tym samym roku 1887 „Kurier Codzienny” rozpoczyna druk nowej powieści Bolesława Prusa. Była nią „Lalka”. Jak „Czerwone i czarne” i „Stracone złudzenia” wielka powieść o przewrocie społecznym jakł przyniosł kapitalizm, i jak „Czerwone i czarne” i „Stracone złudzenia” wielka powieść rozczarowania.

Jan Kott

(C. d. n.)

ZYGMUNT RADEK

Dziewczyna w płonącym miasteczku

Złorčenja syreny mienia się, drza, wznoszą,
Na śmierć wołają żywych, w majaki czuwania.
Głosy płaczkę okrutną zadrgały rozkoszą.
Postacie jakieś biegną w dół po krętych schodach.
Jaskrawym fajerwerkiem pierwszy pożar błyska.
Rynek krzywi się w ogniu i pęka jak miska.
Gliniane garnki domów skupiły się w stado
Skorupy szarych dachów wystawiając na żer
Kolorowych trotyliów. Tam zawisł żyrandol.
Szał paniczny! Przez szyby kroczą biali szklarze.
Wychudził chałupnicy siwi jak pająki
Płaczą się w ramy tkackie, w osnowy plecionki
Krater toczy purpurę, drzewa ronią soki,
Niemowlęta się rodzą z łona martwych matek
I mrą jeszcze wilgotne, czarne od posoki.
Zbiegli się ludzie w sklepy piwnie naostatek.
Tłoczą się, poca, rosną niby ciasto w dzlezy.
Mrok. Milczenie. Budzą się ranni żołnierze.
Śnili o zimie. Nec z ust im się sączy
Plamie czyste bandaże. Kurzą gorzki tytoń.
Ponury rozryw życie konia gwiazdą kończy.
Kłaczę rozdęły chrapy i biją kopytem.
Rżną piłą zębów. Śmierć je nawleka na sznurak
Jak murzyńskie błyskotki z Ugandy. Widać chmurę,
Która banie fabryczną i wieżę przykrywa.
W kałużach trupy, tęczy oliwa.
Awiony znów jak ryby zbiegły się na tario.
Zielona zorza wschodzi nad żydowską sodowiarnią.
Skupiły się tam głowy nad wierzbwym koszem —
Czerwone głowy jabłek, melony i tykwy.
Kobiety z dziećmi w jedno zwinęto rogozą.
Odjeżdżają jak bogi — koła je uwożą.
Jakaś dziewczyna schyla się, by podnieść swą urwaną rękę.
Krzyczy z bólu; oczy jej są jeszcze piękne.
Krew tętnicy mlesza się z ust zwierzęcym krzykiem.
Nie da się z płaszczem Dejaniry porównać ni z niezem
Jej tortura. Ta duża, zdrowa dłoń o palcach pięciu,
Żyły o włóknych błękitnych zamknięte krwawą pieczęcią.
Oto zaciska się groźną pięścią.

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

REORGANIZACJA WYŻSZEGO SZKOLNICTWA

Zagadnienie reorganizacji Wyższego Szkolnictwa jest dzisiaj dla wszystkich ludzi nauki bezspornym. Praca profesorów w Komisjach Rady Szkół Wyższych, setki listów, jakie otrzymujemy w tej sprawie od profesorów, a nawet studentów, wszystko to świadczy, że konieczność zmian na tym odcinku, więcej nawet, konieczność przelomu w dziedzinie oświaty nie jest już przez nikogo kwestionowana.

Odnoszę jednak wrażenie, że dla wielu ludzi ze środowiska Uniwersyteckiego zagadnienie reform sprowadza się często do problemu zaufania. Nie broniąc obecnego stanu rzeczy, przyznając konieczność daleko idących zmian, obawiają się, że zmiany te będą podyktowane raczej aspektami politycznymi niż sensu stricto naukowymi i że wolność nauki na tym ucierpi.

Nie kwestionując i nie zaciemniając społecznego charakteru projektowanych reform, rozpatrywanych w płaszczyźnie ogólnych przeobrażeń społecznych w Polsce, których szkolnictwo zarówno średnie jak i wyższe jest tylko składową częścią, musimy wyraźnie stwierdzić, że zagadnienie wolności nauki jest dla nas zagadnieniem pierwszoplanowym, na straży którego stał i stoi przede wszystkim obóz postępu społecznego. Marksizm w naszym pojęciu jest metodą naukowego myślenia, metodą traktowania wszelkich dziedzin zjawisk, od biologicznych do społeczno-politycznych włącznie. Warunkiem każdej nauki i każdej metody myślenia jest wolność dociekań, wolność naukowego badania. Nikt więc w obozie Demokracji Ludowej nie kwestionuje wolności nauki. Kwestionujemy natomiast konieczność tolerowania takiej organizacji Wyższego Szkolnictwa, która hamuje możliwość wykonywania zawodu naukowego, która uniemożliwia powołanie do życia nowych katedr zgodnie z postępem w nauce i tym samym rozszerzenie kadr naukowców, na ludzi nowych, ludzi rzetelnej nauki, otwierając jednocześnie uniwersytety dla młodzieży robotniczej i chłopkiej. Nie ma również nic wspólnego z wolnością nauki uzależnianie w każdym wypadku habilitacji od przypadkowej Komisji Wydziałowej pod kierownictwem profesora, który niejedenkrotnie należy do specjalistów zupełnie innej dziedziny niż habilitowany. Nie ma nic wspólnego z wolnością nauki tolerowanie tego rodzaju układu katedr, który nie uwzględnia przemian ustrojowych w Polsce, który nie uwzględnia nowego naukowego dorobku w dziedzinie ekonomii politycznej, nauk społecznych, historii zofii, czy nawet w filozofii. Nie ma nic wspólnego z wolnością nauki obecna struktura uniwersytetów i politechnik, nie uznająca dwustopniowości w szkoleniu nowych kadr naukowych tj. specjalistów w ścisłym znaczeniu tego słowa i naukowców z akademickim wykształceniem.

Omawiając problem reorganizacji wyższego szkolnictwa w płaszczyźnie rewolucyjnego stworzenia nowych ram organizacyjnych i ewolucyjnego, wieloletniego procesu reorganizacyjnego, należy właściwie rozpocząć od tej ostatniej kwestii.

Szkolnictwo winno stanowić jedną całość — od abecadła do naukowych stopni. W warunkach równego startu dla młodzieży, robotniczej, chłopkiej oraz niezamożnej młodzieży inteligentnej, dziecko winno mieć możliwość przejścia od początku do końca drabiny naukowej, zatrzymując się na tych szczeblach naukowego poznania, które są dla niego dostępne. Ukształtowanie zainteresowań przychodzi stosunkowo późno i dlatego młody człowiek winien rozwijać się w takich ramach szkolnictwa, które by go nie przesądziły z drogi życiowej i w razie przerw w nauczaniu dawały możliwość już po ukończeniu szkoły średniej wejść w życie z określoną specjalizacją. To też już szkoła średnia powinna zawierać elementy ogólnokształcące i specjalne, te ostatnie potęgujące się w miarę dojrzewania psychologii młodego człowieka. Ukończenie liceum, poza daniem określonej specjalizacji, winno otwierać drogę do wyższych studiów. Wyższe studia posiadają wszakże dwa zadania: kształcić dobrych specjalistów poszczególnych dziedzin i kształcić naukowców. Użyjemy konkretnych przykładów. Polska przemysłowo-rolnicza potrzebuje wielu inżynierów i techników. W Niemczech przedwojennych jak 1:1. W Polsce stosunek jest odwrotny. Na dwóch inżynierów dyplomowanych wypadają jeden inżynier technika. Jest to stosunek absurdalny, sprzeczny z gospodarczą strukturą kraju i z jego potrze-

bami. Problem ten jednak nie może być rozwiązany w płaszczyźnie organizacji sieci szkół technicznych, dopóki te szkoły nie będą miały praw szkół wyższych łącznie z prawem nadawania tytułu inżyniera. I co najważniejsze, o ile ukończenie tego rodzaju szkoły nie będzie podstawą do dalszego naukowego kształcenia, ponieważ nie wolno nam żądać, żeby student licealny z góry przesądzał zamknięcie dla siebie drogi naukowej. Tego rodzaju jednak postawienie sprawy wymaga głębokiej reformy nauczania, złamania wielu dotychczasowych nie tyle tradycji ile nawyków, zwłaszcza w rozplanowaniu katedr.

To samo dotyczy niemal wszystkich dziedzin szkolnictwa wyższego, od stomatologii zaczynając, a na wydziałach pedagogicznych kończąc, wylaczając jednak medycynę. Zagadnienie dwustopniowości wyższego nauczania jest w tych warunkach problemem węzłowym reformy wyższego szkolnictwa, niejako logicznym zakończeniem ogólnej reformy szkolnej.

Drugie zagadnienie, które nas interesuje specjalnie, jest to sprawa tak zwanych dyscyplin ogólnych, tj. ekonomii, nauk społeczno-politycznych i nauki o metodzie naukowego myślenia. Znana jest powszechnie tradycyjna niezdolność przeciętnego inteligenta do naukowego myślenia, niezdolność do planowego, naukowego uszeregowania wiadomości zarówno z dziedziny ekonomii, jak i socjologii, niezdolność do rozumienia życia, rozwijającego się dialektycznie. Opanowanie tej dziedziny wiedzy jest konieczne zarówno dla inżyniera jak i dla lekarza, dentysty, czy nauczyciela. W przeciwnym razie jego udział w życiu nie tylko nie jest udziałem świadomym, lecz nawet, mimo pewnego zasobu wiedzy ścisłej często może stać się szkodliwym i destrukcyjnym. Profesor E. Dobrowski wysunął w swoim czasie iniejiatywę organizacji wyższych instytutów kultury umysłowej, przez które winni przechodzić wszyscy ludzie o pewnym cenencie naukowym, zanim uzyskają pełny tytuł do akademickiego wykształcenia.

Myśl prof. Dobrowskiego jest niewątpliwie słuszna i nie od rzeczy będzie pomysleć o powołaniu chociażby eksperymentalnie kilku podobnych instytutów; obawiam się jednak, że powstanie ich nie rozstrzygnie problemu konieczności przyswojenia nawyków naukowo-badawczego myślenia każdemu adeptowi studiów wyższych. W tym celu należy na wszystkich uczelniach, bez względu na ich zakres i charakter, wprowadzić katedrę ekonomii politycznej, katedrę nauk społeczno-politycznych i wreszcie katedrę metodologii nauk, zwłaszcza humanistycznych. Oczywiście specjalizację w tych dziedzinach traktując jako odrębne studium.

Tego rodzaju reforma wymaga jednak śmiałego otwarcia podwoi uniwersyteckich dla młodych naukowców, którzy ze względu na obecny system habilitacji byli dotąd odsuwani od możliwości wykonywania swego zawodu. Tragedią polskiej nauki było zawsze pozostawanie w tyle za prądami europejskimi, zacofanie przykrywane togą autonomii uniwersyteckiej. Tak było w XV i XVI stuleciu, kiedy po świetnym rozwoju nauki polskiej byliśmy zamknięci w kręgu nauki scholastycznej, tak jest i dzisiaj, kiedy pozostaliśmy daleko poza reformami wyższego szkolnictwa, nie tylko w porównaniu z Z.S.R.R., lecz również Ameryką, czy też nawet tradycyjną Szwecją i Anglią. Zagadnienie habilitacji w niektórych krajach jak np. chociażby we Francji to akt państwowego nadania tytułu profesorskiego przez odnośną Komisję, mianowaną spośród naukowców danej specjalności naukowej. Nie uważam, że u nas w Polsce powinniśmy pójść aż tak daleko. Każdy profesor winien mieć możliwość wychowania swojej szkoły i swoich następców, stąd też należy zachować habilitację wydziałową. Równolegle jednak należy dać możliwość głównej Radzie Naukowej przy Ministerstwie Oświaty przeprowadzać habilitację w skali centralnej, zwłaszcza dla tych dziedzin nauki, które dopiero uzyskują sobie prawo obywatelstwa na Uniwersytetach.

Ścisłe z tym zagadnieniem, wiąże się sprawa decentralizacji uniwersytetów. Średniowieczna „Alma Mater“, obejmująca wszystkie dyscypliny naukowe, nie mające z sobą nic wspólnego, należy już do przeszłości. Na przykład problem wylaczenia Wydziałów medycznych w osobne Akademię Medyczne. Obecny stan rzeczy utrudnia administrowanie uczelnią i jej rozbudowę, zwłaszcza dziś wobec zniszczenia pracowni naukowych, przy braku pomieszczeń, sal wykładowych i co najważniejsze na skutek istnienia wielkich skupisk aka-

demickich (Kraków — kilkanaście tysięcy, Warszawski Uniwersytet — 10.000), które utrudniają stworzenie wśród młodzieży akademickiej ściśle naukowej atmosfery studiów.

Nie znaczy to bynajmniej, że jesteśmy przeciwnikami młodzieży w życiu społecznym. Przeciwnie taki udział jest potrzebny, celowy, kształtuje charaktery i wyrabia poglądy. Atmosfera jednak ciągłego wiecowania odbija się szkodliwie na nauce i na rezultatach prac naukowych, które są głównym celem studiów uniwersyteckich. Należy przy tym zaznaczyć, że rozreklamowana obowiązkowość w traktowaniu studiów przez dzisiejszą młodzież akademicką, mierzona ilością złożonych egzaminów, dotyczy zaledwie około jednej trzeciej zapisujących się na wyższe studia, a częstokroć nawet mniej (prawo U. W., Wydział Humanistyczny).

Pozostawiam w tym artykule celowo na uboczu sprawę przestrzennego rozmieszczenia wyższych uczelni i rozplanowania katedr, które jest zagadnieniem wprowadzenia niezwykle doniosłym, lecz wymagającym odrębnego i szczegółowego omówienia.

Pragnę jednak zatrzymać się na tak zwanym problemie demokratyzacji wyższych uczelni. Przede wszystkim należy stwierdzić jasno i wyraźnie, że chodzi nam o demokratyzację w duchu naszej własnej drogi narodowego rozwoju, o demokratyzację opartą o te przemiany natury gospodarczej i społecznej, których jesteśmy dzisiaj świadkami w Polsce. Elementami tej demokratyzacji na wyższych uczelniach są w pierwszym rzędzie projektowane powyżej zmiany w strukturze i programie studiów. Ale to nie jest wszystko. Omówione przeobrażenia nie mogą być przeprowadzone bez zasadniczej zmiany klimatu, atmosfery panującej dziś zarówno wśród profesorów jak i młodzieży akademickiej.

Nauka i wychowanie nie mogą się rozwijać poza czasem i przestrzenią. Właśnie w imię wolności tej nauki, której istotą jest poznawanie praw rządzących światem i ekonomiką społeczeństw oraz świadome współdziałanie człowieka w przemianach ustrojowych, należy dokonać zasadniczego przelomu w nastroszach uniwersyteckich. Nauka, która ignoruje zdobycze ostatnich dziesięcioleci w dziedzinie ekonomiki, wiedzy o społeczeństwie, metody dialektycznego myślenia przestaje być nauką. Nie może wykładać na współczesnych uniwersytetach przedmiotów z zakresu wiedzy ogólnej człowiek, dla którego czas zatrzymał się na 1939 roku i który uparcie nie chce widzieć przejścia przez czwarty stan władzy w całej środkowej oraz wschodniej i południowej Europie. Odsuwanie od siebie rzeczywistości, niezdolność jej poznania, dyskwalifikuje uczzonego, wychowawcę i ucznia.

Nie zamierzamy tego zagadnienia stawiać w postaci narzucania komus naszego światopoglądu. Nam chodzi w danym wypadku o rzetelny wysiłek naukowy, o dalszą próbę pogłębienia poznania naukowego. Zdajemy sobie sprawę, że proces przełamania wewnętrznego jest trudny, złożony, wymaga czasu i co najważniejsze musi być

dobrowolny i głęboko przemyślany do końca. Ten proces nie zachodzi z dnia na dzień. Nieraz potrzebne są lata. Demokracja Ludowa ma jednak prawo wymagać, żeby uniwersytety weszły głębiej w nasz obecny system państwowy, żeby otworzyły drzwi dla prądów i idei, którymi oddycha cały kraj, żeby zwróciły się twarzą do tych wydarzeń, które rozgrywają się na naszych oczach, a wówczas o rezultat będziemy spokojni. W duszy prawdziwego naukowca zawsze zwycięży w końcu nawyk naukowego myślenia. Jeszcze w silniejszym stopniu dotyczy to młodzieży. Własna droga Demokracji Ludowej wiodąca do Polski wielkiej i silnej gospodarczo, z szerokim dostępem do morza, Polski sprawiedliwej społecznie, Polski głęboko narodowej, ponieważ po raz pierwszy w historii naszego kraju lud, nie szlachta i nie mieszczaństwo, uosabiają ideę suwerenności narodowej, opartej o suwerenność gospodarczą i polityczną. Ta własna droga naszego narodu jest również własną drogą naszej uczącej się młodzieży. Demokracja Ludowa rozumie urazy psychiczne tej młodzieży, która bohatersko walczyła w AK, i przekołała się w końcu, że polityka jej wodzów była błędna i samobójcza dla kraju. Nie jest łatwo bohaterstwo osobiste przeszczerpieć na nowy grunt, którego dotąd nie chciało się widzieć.

Strusia polityka nikogo jednak jeszcze nie uratowała. Należy śmiało spojrzeć w oczy naszej rzeczywistości, zwłaszcza dziś, gdy zostały otwarte szeroko ramiona dla wszystkich, chcących z nami rzetelnie pracować. Nie zamykamy przed nikim wrót uniwersytetów, przeciwnie otwieramy je dla wszystkich tych, którzy dotąd nie mieli do niego dostępu.

I wreszcie kilka słów o metodzie przeprowadzenia projektowanej reorganizacji wyższego szkolnictwa. Zagadnienie jest poważne i wymaga gruntownego przestudiowania prac przygotowawczych w oparciu o wysiłek wszystkich profesorów wyższych uczelni.

Po tej drodze zamierza iść Rada Szkół Wyższych, powołując Sekcje Specjalne, zwołując konferencje naukowe rektorów, dziekanów, profesorów i naukowców. Nikt nie zamierza prowadzić polityki zaskakiwania. Akt rewolucyjny, którym niewątpliwie będzie zmiana struktury szkół wyższych, poprzedzi sumienna praca i metoda ewolucyjnego rozwoju, zanim zmiany ilościowe nie przerosną w nową jakość. Trudno dziś przewidzieć termin zakończenia rozpoczętych już prac. Niewątpliwie jest jedno, że rok 1947 winien być rokiem przełomu w dziedzinie oświaty. W ten sposób spór na konferencjach profesorów, czy należy stosować metodę ewolucyjną czy rewolucyjną jest w istocie bezprzedmiotowy. Rozstrzyga dialektyczny proces dojrzewania każdego zjawiska. Narastające zmiany ilościowe, ewolucyjne, w pewnym momencie przerosną w nową jakość, skok rewolucyjny, żeby znowu popłynąć w łożysku dłużej ewolucji.

Będzie to nasza własna rewolucja oświatowa, rewolucja „w majestacie prawa“.

Włodzimierz Sokorski

WANDA GRODZIENSKA

Wśród wielu starych fotografii
 Jest jedna, co przywraca obraz
 Ludzi umarłych. Klóć potrafi
 Znaleźć granicę zła i dobra,
 Które z ich śmiercią we mnie toczy
 Niewiara w wielkich spraw zawilość,
 Kiedy tak łatwo gasną oczy,
 Przez które w słowo się wierzyło;
 Gdy bunt jak fala morza rośnie,
 Skłębiony pian złowrogich jałdę,
 Przez lata patrzę wciąż bezgłośnie
 Z ram fotografii twarze blade
 I krzyczą, krzyczą tą białością
 Lęk przeraźliwy przed nicością,
 Ten obraz przed oczami mając
 Po życiu chodzę jak po płytach
 Z marmuru, ciągle sens zgłębiając
 Istnienia — ono się do syta
 Wyczerpać nie da. Ledwo zmieścisz
 Rozdział jedyny z swej powieści.
 I po co myśli sens wybierać,
 Szarpać się z życiem klóćci, godzić,
 Kiedy tak łatwo się umiera,
 A tak się trudno człowiek rodzi.

PAWEŁ HERTZ

S E D A N

BYLEM wytrzymałym turystą. Byłem cierpliwym turystą w owych latach przedwojennych, gdy sądziliśmy, że wolno nam się tylko przypatrywać temu wielkiemu i rozległemu spektaklowi, jaki dwudziestolecie, a przecież już bardzo zmęczonym oczom dawał niewielki kontynent, otoczony z trzech stron morzami rozmaitego koloru — od burego La Manche'go do błękitnego Adriatyku i czerni niewielkiego morza Marmara — a z czwartej, przylepiony jak ucho glinianego dzbana do ciężkiego, brunatnego naczynia Azji.

Spektakl trwał od wielu lat. Pod skoczny muzyk Offenbacha, a potem w takt french-kankana, przechodziły kłęski, jedna po drugiej, jak widma, wypłoszone przez naszych dziadków i ojców.

Z lekcji historii pamiętałem nazwę „Sedan” — i to słowo, którego dźwięk był podobny do odgłosu zbitego ptaka, gdy stacza się z wysokiego wzgórza, stało się dla mnie synonimem wszelkiej kłęski i wszelkiej śmierci, jaka nas czeka i jakiej nikt nie potrafi się obronić. Tyle naszego — uczyły podręczniki historii i geografii, owe stacje męki przemijającego czasu — ile zdołamy zamknąć pod powieką, ile zapamiętamy z melodii. Owego czasu mieszkałem w wielkim i pięknym mieście. Dziś, zamienione w wysoki, pokryty na wiosnę młodymi trawami, kopcem gruzów, na którym, jakby je dzieci ustawiły dla zabawy, gdzieniedzie stoją fragmenty nieładniejszej architektury, może ono służyć jako piękny i klasyczny przykład tego, co w dzieciństwie nazywałem Sedanem. Ale dla mnie ten bolesny krajobraz ruin jest jak dobrze znany pejzaż ulubionego malarza. Potrafię z zamkniętymi oczyma wskazać drogę wśród gruzów i wywiązać podróżnego poza ramy straszego obrazu ku zielonym i beztroskim okolicom.

Mieszkałem bowiem w tym mieście wiele lat, zanim nie zacząłem szukać miast piękniejszych. Już wtedy każdy dom i każda ulica kryły w swoim żywym i barwnym kształcie załazek ruin. Miasto wydawało się wzniesione na fundamentach kłęski.

Byłem smutnym dzieckiem mojego czasu, rosem sam, pełen pogardy dla ludzkich spraw moich rodziców, pełen lekceważenia dla rówieśników: oni bowiem, jak to zauważyłem, przyjmowali obraz świata łatwowiernie, nie podejrzewając, że kryje w sobie ogromną ruinę i ciszę, która przyjdzie i zakończy nabytą skonstruowaną muzyką fraza, kanonadę artylerii i placz dziecka w spalonym domu pod rozdartym jak papier dachem.

Moi rodzice dali mi wychowanie staranne. Nie wspominam tu o latach wczesnego dzieciństwa, kiedy to stosowano wobec mnie najnowsze zdobycze pedagogiki i higieny, każąc mi biegać z gołymi kolanami w zawałone śniegami zimy. Biegałem posłusznie, szcękając zębami, a jedyną pociechą powstrzymującą łzy było to, że tuż pod zszniałym z zimna kolaniem zaczynał się brzeg prawdziwej szkołkowej skarpetki. Takich skarpetek nie posiadał żaden z pogardzonych przede mną rówieśników. Były one przywiezione w ilości dwóch tuzinów przez moją ojca z dalekiej podróży.

Świadomość, że miasto w którym żyję nie jest jedynym miastem na tej ziemi obudziła się we mnie o wiele wcześniej, jeszcze zanim przyoblekłem moje nogi w ową szkocką wełnę. Skórzane walizy moich rodziców, a zwłaszcza pewien neseser matki, oklejony niemal całkowicie kolorowymi nalepkami, na których widniały nazwy hoteli i miast, a czasem też — jak naprzykład na trójkątnej nalepce z Agrygentu — malownicze widoki, były moim pierwszym podręcznikiem geografii. Nie wątpiłem wówczas, że miasta ukryte za nazwami, które wymawiałem pieszczotliwie i nieprawidłowo, nie są zupełnie podobne do miast w którym żyłem, a ulice w nich są zapewne bardziej interesujące niż nasza zamożna i pusta ulica. Przypuszczałem również, że domy nieznanymi miast nie są wcale tak spokojne i smutne, jak nasz bogaty dom, gdzie na każdym piętrze od frontu stały we wnękach alabastrowe, malowane figury, przedstawiające jedną i tę samą postać — dziewczynę z dzbanem na ramieniu. Wzdłuż pięter, od dachu aż do parteru zwisała gruba lina z brązu, zakończona wielką, kolorową latarnią, w której syczał gaz.

Rodzice porzucali mnie często dla dłużej podróży, z których wracali w nowych strojach, włócząc za sobą zapach angielskiej lawendy i pullmanowskich wagonów. Wieźli mi rozmaite dary, ale ja obawiałem się tych darów, bo w każdym z nich tkwiło cudze — nie moje — wspomnienie miasta, ulicy i magazynu, gdzie dar ów był kupiony. Myślałem, że już wtedy zazdrościłem moim rodzicom przeczuwanej rozkoszy podró-

żowania. Wyrażało się to przede wszystkim w kolekcjonowaniu znaczków pocztowych.

Moja matka, zapewne tylko wskutek tak częstego w tej dziedzinie nieporozumienia, urodziła się w bogatym, mieszczańskim domu. Nie znam historii jej dzieciństwa i młodości, znaliśmy się krótko i mało. Nie przypuszczam jednak, by jej dzieciństwo i młodość były lepsze od tych samych pór mojego własnego życia. Wśród niewielu zachowanych fotografii jest tylko jedna na której moja matka wydaje się szczęśliwa. Młoda kobieta w długiej sukni, w wielkim kapeluszu, w długich rękawiczkach, które zachowały swój połysk nawet na tym późniejszym zdjęciu, siedzi w powozie, zaprzężonym w dwa konie, a na koźle — woźnica w meloniku. Na odwrocie czytamy krótki napis: Bayreuth, moja pierwsza podróż i data, tak dziś odległa, że już obojętna. Przez wiele lat, bo z dzieciństwa pamiętam tę fotografię, nie rozumiałem co znaczy słowo Bayreuth. Później, gdy już nieco poznałem geografii, umieściłem wagnerowską stolicę w Syrii, błąd znany wszystkim trzecioklasistom, którzy mylą Beyrut i Bayreuth.

Dziś jednak, po latach, gdy rozumiem już słowo Bayreuth, przestaje rozumieć resztę napisu — moja pierwsza podróż. Nie same słowa oczywiście są niezrozumiałe; ale ten wyraz szczęścia w oczach mojej matki napędza mi strachem i chciałbym jej powiedzieć, że właśnie pierwsza podróż jest fatalna, że od niej rozpoczyna się kłeska. Nigdy bowiem nie bywamy syci podróży, wciąż staramy się ją przedłużyć, powtarzać, w nadziei, że jej uroki przestonia nam prawdziwy obraz świata. Ale nadzieja ta jest złudna i z każdej podróży przywozi się serce coraz bardziej puste i coraz to bardziej opuszczone kąciki ust, lekających się jeszcze wypowiedzieć słowo: kłeska.

Czego szukała moja matka w Bayreuth w pierwszym dziesięciu lat tego stulecia? Czy poprzez tętent ewalujących Walkirii słyhała było jeszcze skoczny marsz z „Orfeusza”? Te dwie muzyki dzielił przecież tak niewiele czasu! A tętent Walkirii bez dalekiego echa offenbachowskiej muzyki nie wróżył przecież nie dobrego u progę 1914 roku. Czy matka o tym wiedziała? Myślę, że nie wiedziała o tym wraz z całym swoim pokoleniem. Smak przyszłych kłesk miał towarzyszyć dopiero następnemu pokoleniu.

Niekiedy odnaleziony list, albo i fotografia, dostarczają nam więcej wiadomości o człowieku niż wieloletnie przeżywanie z nim pod jednym dachem. Co do mnie więcej bardziej dokumentem dotyczącym rzeczy i ludzi, mniej ufam wiedzy, która płynie ze źródeł bezpośrednich. Dlatego też żadne z bezpośrednich wspomnień o matce nie mówi mi o niej tyle, ile mogę się dowiedzieć z tej fotografii. Konwencją, jaką zawierało mieszczaństwo z otaczającym je światem w okresie trzeźwego dyskontowania swojego romantyzmu i swoich uniesień z przed lat stu, była bardzo surowa. Pokolenie mojej matki nie miało ochoty zrywać tej konwencji — miało to uczynić dopiero pokolenie następne. Ale cała historia obydwóch końca dziewiętnastego i początku dwudziestego stulecia uczy nas o powolnym wyłamywaniu się jednostek pochodzenia mieszczańskiego z ciasnego kręgu konwencji. Spętana długą suknią z ogonem — tym widomym znakiem zgody na to, że nie będzie poruszać się szybciej od innych, — matka moja potrafiła powetować sobie tę zgodę pogardliwym traktowaniem ludzi swojej sfery, choć ulegała tym samym co i oni prawom. Pogarda wyrażała się między innymi i w tym, że utrzymywała chłodne, choć bardzo poprawne stosunki z rodzinną swego męża, a moją ojca. Dzięki matce nie znalazłem prawie tej rodziny bogatych fabrykantów i solidnych kupców; nie znalazłem ich żon, dzieci, domów, skomplikowanych ceremonii rocznic, złotych weseł, ślubów i pogrzebów — tych wszystkich znaków, którymi mierzą swe dzieje rody mieszczańskie. Były tylko znaki mojego wzrastania: zacięte we framudze drzwi do pokoju matki i opatrzone kolejnymi datami.

Porzucając smutne dzieciństwo, jak się porzuca niezamieszkałe pokoje, wchodzimy w młodość, znaczącą przeważnie podróżami, jak walizki rodziców barwnymi etykietami hoteli.

Uroki Europy po której podróżowałem cierpliwie, wciąż odnajdując znajome z dzieciństwa widmo ruiny, zużyły mnie szybko. Po dwóch latach wiedziałem już z góry, co mi ofiarować może ten kontynent. Poranki w Szwajcarii, wieczory w Austrii, pachnącej miętą, ciepkiem winem, miękką skórą pantofli, walizki i neses-

row wystawionych w witrzynach Grabenu i Opernringu. Włochy zapraszały gadatliwie i pozwalały oglądać prawdziwe ruiny, tak harmonijne i piękne, że nie kojarzyły się już wcale ze słowem dzieciństwa: Sedan.

W rzymskich i etruskich ruinach nie widziałem Sedanu. Porosła trawą lub wypalone słońcem leżały białe, martwe i spokojne, jak wyrzucone z kubka kości. Widmo ruin majaczyło tylko za wielkich, żywych, pełnych światła metropolii.

W tym okresie, jak niegdyś znaczki pocztowe, kolekcjonowałem nazwy wielkich linii kolejowych, łączących klimaty i narody. Znałem bieg Nordów i Orientów tak dokładnie, jak uczeń zna krwiobieg. Europa była, jak mi się wtedy jeszcze zdawało, pięknym ciałem, a linie kolejowe wiązały ją niby arterie i żyły. Nie byłem nigdy wierzący, ale pamiętam, że wnętrza wielkich blur podróży odwiedzałem z nabożeństwem. Cenilem bowiem bardzo liturgię odjazdów.

Gdzieindziej wspominałem już o tym, że choć znałem miasta i kraje, kochałem pejzaże i muzea, to jednak nie znałem ludzi, a co gorsza — nie kochałem ich wcale. Prostu byli zbyt tacy w tym świecie, gdzie dzięki pieniądzą mojego ojca i wychowaniu, jakie mi dała matka, mogłem poruszać się swobodnie, nigdy się o nich nie ocierając. Jedyną kategorią ludzi, jaką musiałem brać pod uwagę w moich rachubach codziennego życia to była kategoria tych, którzy pracowali dla mnie albo też zamiast mnie. Zdawałem sobie przecież sprawę, że dla mojego głębokiego snu potrzebne jest czyjeś nieustanne czuwanie.

Świat był pusty i pustoszałem w nim coraz to bardziej wraz z całym pokoleniem. Nadchodził czas, gdy ludne obszary Europy miały się zamienić w wielki festiwal wagnerowski. Zza sceny dobęgał coraz to głośniejszy tętent Walkirii.

Poprzednie pokolenia słyszały w nim być może tylko muzykę. Ale my byliśmy urodzeni zapóźno dla samej już tylko muzyki, a o setki lat wcześniej dla świata bezruchu, sytości i spektaktorstwa — dla świata, który kiedyś powstanie, jeśli zaozremy traktorami każdy cal ziemi, jeśli pokryjemy fabrykami każdy metr kwadratowy naszego miast.

Turyści, którzy w owych latach jeździli cierpliwie od miasta do miasta, niby komiwojażerowie wielkiego przedsiębiorstwa o gęsto rozsiągniętych filiach, choć zmieniali języki, nie zmieniali przecież treści prowadzonych rozmów. Niewielki nasz kontynent, choć był jednolitą prawie całością, krył wiele godnych zwiedzenia miejsc, o których jednak nie wiedzieli turyści. Podróże na Lido biegiły inną trasą niż deportacje na Lipari. Kto wiedział o celach więzienia we Fresnes, położonym o kilkanaście kilometrów od Paryża? Plaże Rivieri kończyły się tam, gdzie się zaczynały obozy dla hiszpańskich uchodźców. Podróżny mijając zielony pas wiedeńskich ringów nie wiedział, że w tym samym mieście jest inna jeszcze strefa: Karl-Marx-Hof.

Z racji tej niewiedzy turyści uważali się za sól ziemi, choć, jak rzekłem, byli tylko komiwojażerami. Jeśli nawet usiłowali niekiedy przez ciekawość, nigdy przez współczucie, opuścić swoją martwą zonę domniemanej samotności i wychodzili na spotkanie ludziom prostym, to mieli głębokie przeświadczenie, że popelniają akt chwilowej abdykacji. Odkładali koronę, berło i jabłko, zstępowali pomiędzy śmiertelnych, ale już po chwili wracali zniechęceni i pogardliwi. Nie potrafili nigdy do rzucić do wiedzy o rzeczach odrobiny wiedzy o ludziach, a to dlatego, że rozpatrywali każdego oddzielnie, przyglądali mu się jak lwu w ogrodzie zoologicznym i z rozczarowaniem mówili potem, że ten lew nie ryczy. Tak się to działo, że oglądając obrazy Holendrów i znając historię całego malarstwa, turyści wiedzili więcej o obrazie, niż mogliby dowiedzieć się o prawach, jakie rządzą tym, kto obraz namalował.

Lata, które oddzielały dojrzałość mojego pokolenia od wielkiego Sedanu naszych konstrukcji świata, kazały nam zdecydować, iż jedyną wartością jest sztuka, że należy trwać na pozycjach bezwładu i bierności, żyć niechętnie, a przede wszystkim strzec pilnie naszego stanu posiadania materialnego, który pozwalał na formowanie takiej ideologii. Broniąc się w myślach przed nadeciągającą kłeską, oczekiwalimy jej stamtąd, skąd nie mogła nadejść. Kłeska bowiem była w nas samych, w naszej lewizji bezruchu i bierności.

Myślałem, że wspomnienia tych lat mogły być dziś zajmujące i pozytywne, a być może nawet, że kiedyś można z nich będzie odczytać prawdę o czasie, z którego tak by-

liśmy dumni. Czytelnik, zwiedziony formą pamiętnika, nich pamięta, że gdyby zastąpić imiona własne, nazwy miast i opisywane zdarzenia innym ich zespołem, to zmiana taka w nieczytnym nie naruszyłaby mojej konstrukcji. Pociąg więc piszę fikcyjny pamiętnik? Powieść wymagałaby rozszerzenia pola obserwacji, mnie zaś zależy na analizie drobniagowej, na operacji szybkiej i precyzyjnej. Powieść zapewne zmusiłaby mnie do wyciągania wniosków. Woleję jednak nie wyciągać wniosków, gdyż tę pracę wykonała za mnie historia, gorzko choć bezładnie. Moja praca polega już tylko na sprowadzeniu ludzi, zdarzeń i rzeczy do matematycznego wzoru, w którym uwidoczni się ich współzależność.

Uprowadzając czytelnika o celowo skonstruowanej fikcji pamiętnikarskiej, muszę go jednocześnie uprzedzić, że zespół zdarzeń, jaki mu przedstawię, jest typowy dla niedawno umarłego czasu. Niech nikt tego czasu nie oplakuje. Był piękny, to prawda, ale był nieludzki. Przypatrzmy mu się uważnie:

Dzieciństwo i wczesna młodość spędzone w izolacji w pięknej dzielnicy mojego rodzinnego miasta nie wydały dobrego owocu. Nie będę tu wdawał się w szczegóły, zajęłoby to bowiem zbyt wiele czasu i nie zmieniło w niczym tego obiektywnego faktu, że pewnej zimy znalazłem się w wiedeńskim sanatorium, gdzie doktor W., znany i ceniony psychoanalityk miał mnie wyleczyć z ostrej neurastenii. Rodzice moi, którzy zaopatrywali mnie w przedmioty i o dzieciz najpierwszych magazynów, byli zdania, że równowagę ducha najlepiej zakupić dla mnie w ówczesnym Wiedniu, o wymaganiach tej niepełnej i jednostronnej, jak to już dobrze wiemy, wiedzy o człowieku, jaką jest psychoanaliza. Decyzji tej poddałem się dość chętnie, nie dlatego bynajmniej, że chciałem zostać wyleczony, lecz raczej dlatego, że interesowała mnie sama metoda. W owym czasie dzięki pilnemu obserwowaniu dookolnych zjawisk i dość skrupulatnemu podpatrywaniu świata, doszedłem już do przeświadczenia, że sprawa człowieka nie tkwi bynajmniej w nim samym, lecz poza nim, w ogromnym, otaczającym go splocie zdarzeń. Podejrzywałem, że zdarzenia te podlegają jakimś naturalnym prawom, jak bieg rzeki, czy ruch obrotów na niebie, że nie kieruje nimi przypadek; ale te podejrzania rysowały się jeszcze bardzo mgliście.

Wiedeń był tej zimy jak wielka, ciężka głowa osadzona na zbyt drobnym korpusie. Ten kraj, żyjący z galanterii skórzanej i śniegu sprzedawanego pod narty angielskich turystów w Partenkirchen i na Semmeringu, był poddany surowym prawom, jakie rządziły w owych latach Europa. Ale gdy wielkie państwa na zachodzie oddychały z trudem pod ciężarem bezrobocia i kryzysów, mała Austria wydawała ostatnie tchnienie. To wszystko nie mnie jednak wtedy nie obchodziło. Ze względu estetycznych wolałem kryptę Kapucynów, gdzie spoczywali rzędem członkowie rodu Habsburgów niż zryte kulami jak osą młode czoło austriackiej republiki: Karl-Marx-Hof. Mieszkałem w modnym sanatorium w Hietzingu. Poprzez gęste drzewa okalające pawilon w którym mieścił się mój pokój nie tylko nie dobiegały wieści, lecz nawet słabo słychać było dzwonki tramwajów lub turkot samochodów. Była zima.

Doktor W. przed rozpoczęciem seansów psychoanalitycznych pragnął mnie kompletnie odizolować od otoczenia. To też byłem izolowany i od uroków i od niepokoju świata. Odsunięto ode mnie książki i gazety, odebrano mi notes i wieczne pióro. Regulamin izolacji zabraniał posiadania jakichkolwiek przedmiotów ostrych lub takich, które zmieniając swoje pierwotne przeznaczenie mogły by stać na usługi śmierci. Pozbawiono mnie krawata, sznurówadeł, maszyny do golenia i srebrnego noża do papieru. W tej sytuacji czas nie miał już żadnego znaczenia, to też odebrano mi zegarek. Początkowo bawiła mnie ta ostrożność, gdyż myślałem o gwałtownej śmierci, która mi ocalała. Groziła mi natomiast śmierć inna, polegająca na nieustannie rozluźnianym się kontakcie ze światem, na niemożliwości porozumienia się z ludźmi, na bezradnej obserwacji zdarzeń, w których nie potrafiłem brać udziału.

Przywiązywałem ogromne znaczenie do przedmiotów codziennego użytku, które rozciągamy każdego ranka w dziesięciu kieszeniach naszego ubrania, a każdego wieczora rozkładamy starannie na szklanym blacie nocnego stolika, w młym kręgu światła lampy, zaplanowi dla herbaczanego czuwania. Gdy leżał obok nas, wiemy, iż stanowią zespół podległy naszej administracji, czuwamy nad nimi i czuwamy w ten sposób nad sobą. Napelniając nasze

watermanny, osadzając nowy kamień w zapalniczkach, nakreślając zegarek — pielęgnowujemy naszą myśl, nasz nałóg, nasz czas.

Byłem więc jak więzień. Ale ku wielkiemu mojemu zdziwieniu nie czułem się pokrzywdzony. Przypomniałem sobie bowiem zdanie z jakiejś książki, której bohater twierdzi, że jeśli ktoś choć jeden dzień spędzi na wolności, ten może przez całe życie przesiedzieć w więzieniu. Nikt mu bowiem nie jest w stanie odebrać wspomnień, a te wspomnienia można zawsze rozszczerzać na czworo, każdą część znów na czworo i jeśli jednego dnia przypominę sobie stół przy którym siedziałem, to następnego dnia będę mógł wspominać rysunek stojów drzewa z których ten stół zrobiono.

Po wielu dniach zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, iż stan w jakim się znajdowałem (brak poczucia miejsca, czasu, a przede wszystkim świadomości, iż wystarczy wyjść poza złocone sztachety sanatoryjnego parku, by znaleźć się w wielkim, żywym świecie), nietylko nie sprawia mi przykrości, lecz przeciwnie sprzyja temu do czego bezwzględnie lecz nieuchronnie zdążałem. Sanatorium było miejscem eksterytorialnym, cudzoziemską koncesją w egzotycznym mieście. Działają tu inne przepisy i inne były prawa. Tu nie tylko wolno było odrzucić wszelką myśl o poznaniu otaczającego nas świata, lecz nawet wzbierano nam tych myśli.

Nie było to już czasy spokojne. Pachniało prochem i krwią. Choć dla mnie istniały tylko wonne zapachy wody kolońskiej, czystej białizny i dobrego tytoniu, dla innych bywały zapachy inne — fosgen lub zapach wapiennego dołu. Widoki w tych latach również nie były jednakowe dla wszystkich: jednym — zarówno różami willa Mills lub teatr grecki w Taorminie, innym — drut kolczasty, polyskujący w martwym świetle bitewnego dnia. Nad jedynymi sprawowali opiekę policjanci w niebieskich mundurach, nad innymi — szpicel z podniesionym kornierzem pała. Naprawdę nie było różnicy w niczym, ale ja nic jeszcze o tym nie wiedziałem i starałem się na razie poznać tylko połowę prawdy, tę połowę, która mówiła o mnie.

Jak w klasztorach, gdzie nowicjusza zostawiają samego w wąskiej celi, by utwierdził się w swoich pobożnych myślach, jak w więzieniach, gdzie przenosi się nie raz przestępcę politycznego z sali ogólnej do separatu, by tam, pozbawiony pomocy szewca, pomocy ludzkiego głosu i ludzkiego gestu, ludzkiej nadziei i wiary, nabrał przekonania do wyroku, jaki mu gotują sędziowie, tak samo i tu, w modnym wiedeńskim sanatorium wydano mi na pastwę samotności. Usiłowałem oddzielić mnie od ludzkiego głosu i ludzkiego gestu, ale nie wiedzieli, że ani głos, ani gest ludzki nie towarzyszyły moim myślom. Temu błędnemu mniemaniu zawdzięczam zapewne, iż wte dy właśnie, w tym świeckim klasztorze, nabijającym owocowość we mnie drzewo pamięci. Nie było to jednak tylko cześć przypomnianie sobie widoków, miast i twarzy, jak to bywa, gdy po długiej podróży rozpamiętujemy jej bieg. Tylko ci, co podróży nie odbyli do końca wskutek jakiejś niespodziewanej przeszkody, rozmyślają, zatrzymani w drodze, nie tylko nad tym co widzieli, lecz przede wszystkim nad tym, dlaczego wybrali się w podróż. Podróż bowiem bywała rozmaite: takie, które odbywamy po to, by poznać lepiej i dokładniej świat który nas otacza i powrócić z zapasem doświadczeń, pożytecznych dla wykonywanej pracy; i takie — by uniknąć poznania świata, by nie powracać do domu, gdzie nie czeka nas żadna praca. Pierwsze bywają uzupełnieniem studiów, zamknięciem czasu pierwszej młodości, drugie — straszną zabawą w chowanego przed samym sobą, kalejdoskopem w ręku dziecka, ucieczką przed wszelką odpowiedzialnością. Gdy naszych ojców i dziadków pytano w dzieciństwie: Kim chcesz zostać? — odpowiadali: inżynierem, lekarzem, kupcem albo adwokatem. Jeśli zapytano o to samo kogokolwiek z nas, odparzyli: chcę być cudzoziemcem. Znaczyło to tyle, co: nie chcę ponosić za nic odpowiedzialności, chcę mieszkać w zonie eksterytorialnej, w cudzoziemskiej koncesji, którą zdobyli dla mnie inni.

Dwa tygodnie spędzone w sanatoryjnej samotności były jak odświeżający postój, jak głęboki oddech, jak gdyby ktoś rozsądny zatrzymał mnie w ucieczce, chwytając za połę płaszcza. W tym czasie owocowało drzewo pamięci.

Pewnego dnia doktor W. wezwał mnie do swojego gabinetu, aby rozpocząć wreszcie cykl seansów. W dużej, płóciennej teczce, która spoczywała na biurku doktora leżały arkusze ewidencyjne, obejmujące sprawy mojego ciała: można się było z nich dowiedzieć, ile waży, jaki jest mój wzrost, jaki stopień sprawności odruchów, co wiadać w moim lewym płuca i z czego składa się mocz. Moje ciało łącznie z jego najbardziej precyzyjnymi funkcjami nie miało

już dla doktora W. żadnych tajemnic. I oto teraz, gdy leżałem na wygodnej kanapie w kręgu światła zielonej, stojącej lampy, miało rozpocząć się badanie tej nieuchwytej reszty, która zdaniem szkoły reprezentowanej przez doktora W. nie daje się wnioskować ani z ciała samego pacjenta, ani ze stosunku, jaki istnieje między nim i światem. Metoda, której doktor W. był wybitnym przedstawicielem, tak modna w latach przedwojennych, a przeznaczona dla głębokich sondowań duszy ludzi o stałym miesięcznym dochodzie, przewyższającym wielokrotnie dochód kilkudziesięciu ludzi, których wszelkie choroby leczono przy pomocy proszka aspiryny, wymagała odpowiedniej scenarii i stosownego rytuału.

Światło nie mogło być zbyt jaskrawe, pacjent winien leżeć swobodnie, jego świadomość — zachodzić mgłą, jak oko w chwili, gdy już nie czujemy, lecz jeszcze nie ogarnął nas sen. Wówczas to rozluźnia się nasza świadomość, niby okrętowa lina — i ciężki okręt grzechów spływa na wody miarowego gadulstwa. Zaczynamy myśleć, a raczej nie myśleć, lecz komunikować to, co się nam na myśl nasuwa w związku ze snem minionej nocy. Lekarz jak niewidoczny sędzia notuje nasze słowa i będzie z nich pisał na nas wyrok. O, śmieszna, o, okrutna zabawa w bóstwa, w tłumaczy delfickich wyroczni!

Kojarzyłem właśnie do odczytanych mi przez doktora W. moich własnych słów w których był zawarty sen poprzedniej nocy w takim kształcie, w jakim go zdołałem zapamiętać.

— „korek... flora... niewielka moneta papieska... widzę długą ulicę... Doktorze! — przebudziłem się nagle jak chory z wielkiego snu. — Doktorze! Przecież to nie ma sensu!

Doktor stanął u wezglowia, jak anioł stróż odpędzający złe moce i patrzył na mnie wzrokiem pełnym obawy i czułości.

— Jak to: nie ma sensu? Czy pan kojarzy?

— Nie. Poprostu powiedziałem: to nie ma sensu.

— Ach tak! — w głosie doktora W. zabrzmiało znużone rozczarowanie. — To zupełnie normalny odruch. Przerwał pan tok kojarzenia, bo widocznie miał pan coś ważnego do zakomunikowania. Niech się pan położy! No, proszę: „niewielka moneta papieska... widzę długą ulicę...“

— „...dochodzę do stacji... jakieś miasto... widzę napis nad dworcem...“

Cisza. Słychać tylko jak Waterman doktora sunie po papierze.

— Sedan! — zawałowałem i zerwałem się z kanapy. Doktor znowu wstał zza biurka i popatrzył na mnie uważnie.

— Co to znaczy?

— Doktorze, tak nigdy do niczego nie dojdziemy. Złe mnie pan leczy. Złe pan leczy swoich pacjentów, doktorze. Chcę pan, żeby zobaczyli samych siebie i żeby się pogodzili ze światem. To niemożliwe, bo oni nie są z nim nawet skłóceni. Poprostu nie o nim nie wiedzą. Są w niezgodzie tylko z tym obrazem świata, jaki w nich powstał, jaki się w nich nawiążył. Ale o świecie nie wiedzą nic. Nawet go nie przezwyciężają.

Doktor W. musiał potraktować to co powiedziałem jak dziecinny żart. Jego mistrz miał poważniejszych oponentów, on sam ileż to razy zbijał argumenty przeciwników teorii, która odrywała człowieka od zespołu spraw ludzkich, czyniąc go zabawą w ręku sił ciemnych i wrogich, drżących w piwnicach naszej podświadomości. Z bełkotu tych sił, z ich podskórnych nurtów starał się doktor W. wyprowadzić prawdę od dzielnią dla każdego pacjenta. I teraz, gdy tak wyraźnie zaprotestowałem przeciwko teorii, doktor potraktował ten sprzeciw jako jeszcze jedno ogniwo w długim, poprzerywanym łańcuchu słów — symbolów, które miały wreszcie zdradzić to, co w mnie tkwiło, a co jego zdaniem było motorem moich stanów chorobowych. Ale ja wiedziałem już więcej, dzięki owocującemu we mnie drzewu pamięci i niezgrabnie, po swojemu odmówiłem zaufania teorii.

— Powiedział pan: „Sedan“. Co to znaczy? — nastawał doktor. — Niech się pan położy. Niech pan rozluźni świadomość. Niech pan rozluźni świadomość. Sedan... — powtórzył łagodnym głosem to słowo, które niosło z sobą szelest osypujących się ruin i głuchy odgłos staczającego się, zbudowanego pnia.

— Sedan — powiedziałem spokojnie, siedząc wyprostowany na kanapie i patrząc w oczy doktorowi W. — Sedan to kłeska. W ciągu tego czasu, jaki spędziłem tu w zamknięciu, odcięty, odizolowany od świata, zrozumiłem swoją kłeskę... Niech pan tylko pomyśli, doktorze! Odebrano mi zegarek, krawat i wieczne pióro. Okazało się, że potrafiłem doskonale żyć bez tych wszystkich przedmiotów. Skazał mnie pan na zupełną samotność. Doskonale. Okazało się, że samotność wcale nie jest uciążliwa, że jej nawet nie odczuwam. Co to znaczy? To znaczy, że nic nie wiem o świecie, jeśli do

niego nie tęsknię, że nie łączą mnie z nim żadne węzły, jeśli nie odczułem ich zerwania. Poniostem jakąś niewątpliwą kłeskę, bo dotychczas wydawało mi się, że między mną i światem trwa kiłotnia, że jesteśmy obcy sobie i nie pogodzeni. Tymczasem nie było między nami ani kiłotni ani zgody. Między nami nie było nigdy żadnych relacji. Dwa tygodnie bez mnie minęły dla świata niespostrzeżenie, dwa tygodnie bez świata dla mnie minęły również bez śladu. Kto zapytał o mnie, czy gdziekolwiek pozostało po mnie puste miejsce, czy jakkolwiek praca została przerwana, w jakim szeregu powstała luka? Nigdzie mnie nie brak, bo nie byłam nigdy notowany w kronikach świata.

— I to pan nazywa kłeską? — zapytał zaciekawiony doktor.

— Tak, doktorze, to właśnie nazywam kłeską. To, co uświadomiłem sobie w izolowanym pokoju pańskiego sanatorium, to mój pierwszy Sedan.

— Nie pan jeden...

— Wiem, że nie ja jeden. Setki pańskich pacjentów są tacy sami jak ja — nienotowani w kronice świata. Jedyny ślad po nich, to pański rejestr chorych. Nie pozostanie po nich nic prócz analizy moczu i biuletynu wagi. Czy sądzi pan, że to dość jak na człowieka?

— Pańskie warunki materialne nie zmuszają pana do wpisywania się w inne rejestry — zauważył ironicznie doktor.

— Otóż to właśnie: moje warunki materialne. Niech mi pan powie, doktorze, czy miał pan wielu pacjentów gorzej uposażonych odemnie?

— Czy pan przypuszcza, że zaburzenia psychiczne są wyłącznie udziałem rentierów?

— Nie. Myślę tylko, że pańska metoda leczenia obowiązuje tylko w stosunku do rentierów. Jakoś pomaga im pan wierzyć, że ich małe nieszczęścia osobiste rosą z głębin niepojętych i ciemnych. Każe im pan brać udział w tych poszukiwaniach, prowadzi ich pan jak Wiergiliusz Dantego do piekieł, które w gruncie rzeczy nie istnieją w pacjentach, lecz poza nimi — w ich funkcji jaką wypełniają w tym świecie zbyt rozsądnym na to, by mogli tolerować próżnię.

— A jakby pan chciał ich leczyć? Odebrać renty, zmusić do fizycznej pracy, zdeklasować? Mój młody człowieku, to co pan mówi nie jest poważne. Przesiedział pan dwa tygodnie w samotności i dziś, zamiast odbywać jak należy swój seans, wybiega pan z tej samotności, jak z wanny i woła pan: „Eureka!“ Czy nie sądzi pan, że to co pan odkrył musiało być łatwe do odkrycia, jeśli uczynił pan to tak szybko i tak niewiele wkładając w to pracy?

— Czy zdarzyło się panu, doktorze, zgubić jakiś przedmiot codziennego użytku, szukać go uparcie na stole i pod stołem, nie znaleźć, aż wreszcie po kilku dniach natrafić na zgubę w kieszeni, do której nawet nie próbował pan sięgnąć?

— Rozumiem. Co pan zamierza teraz robić? Czy przystąpi pan do pracy w fabryce? Czy może napisze pan gwałtowny list do ojca z żądaniem, by zaprzestano panu wysyłać pieniądze? To się często zdarza, ale to romantyzm, tani romantyzm!

— Niech mnie pan o to nie posadza. Wcale mi nie zależy na odkupieniu własnej kłeski. Podejrzewam, że to nie jest tylko moja osobista sprawa. Ale to nieważne. Jestem zadowolony, że potrafiłem odkryć przyczynę mojej osobistej kłeski, że udało mi się wychylić głowę poza granicę moich małych spraw. Wiem, że jeśli wychyliłbym się zbyt daleko, straciłbym równowagę. Wobec tego wychyliłem tylko głowę. Co zamierzam? Praktycznie — nic. Przerwę tylko pobyt w sanatorium, bo wydaje mi się, że pańska terapia jest już zbyt cenna. Poszukiwałem we mnie samym przyczyną się najwyżej do odświeżenia powodów kilku niechęci i lęków, ale nie wyjaśnił mi, dlaczego pomiędzy mną i światem ciągnie się no man's land — obszar nieuprawnny i pustynny. Myślę, że to też nie jest moją osobistą sprawą. Istnieje z pewnością jakaś hierarchia spraw w świecie. Można się jej podporządkować, lub oprzeć, ale trzeba ją poznać.

— Cóż więc nazywa pan Sedanem?

— To miejsce, do którego dotarłem, gdy przekonałem się, że nie znam tej hierarchii.

— Przyznam panu, że dotychczas moi pacjenci uciekali dlatego, że nie chcieli się niczego dowiedzieć. Ta ucieczka po wiedzę, od siebie do świata, trochę mnie dziwi i zastanawia.

— Wydaje mi się doktorze, że niedługo rozpocznie się powszechna ucieczka po wiedzę — od siebie do świata.

W gabinecie zaległo milczenie. Mimo szczelnej izolacji okien usłyszeliśmy obaj daleki ryk trąby i słabe oklaski miedzianych talerzy. To nadciągała wojskowa orkiestra. Urok tej barbarzyńskiej muzy-

ki, jaką są dziarskie lub bohaterkie marsze, czarował mnie od dzieciństwa. Nie potrafiłem coprawda, jak moi rówieśnicy, biec za nią, natomiast słuchałem jej zawsze z większym skupieniem niż oni, w chwili gdy mnie mijają. Wojsko, straż pożarna — to były dla mnie instytucje świadczące o tym, że świat jest przecież jakoś zorganizowany, że o nic nie muszę się troszczyć. Wydęte policzki trębaczy i głos trąb wydawały mi się rekompensatą mojego milczenia. Moja niechęć do przyjmowania udziału w czymkolwiek wyrażała się również i w tym, że jakkolwiek strofowałem mnie za to surowo, nigdy nie podnosiłem przedmiotów, jakie nieostrożnie ronili na ziemię dorośli. Schylałem się coprawda, wykonywałem wszystkie ruchy towarzyszące, ale przedmiot w tej samej chwili podnosiła już cudza ręka.

Miałem dość czasu od chwili, gdy usłyszałem pierwsze dźwięki wesołego marsza, by wszystko to sobie przypomnieć, uśmiechnąć się do siebie i zbliżyć się do wysokiego okna. Od szerokiej, przedmiejskiej ulicy dzielił mnie prostokąt czarnej ziemi, gdzieś tam pokryty śniegiem; wiosną zamiast śniegu rosła tu zapewne gęsta, zielona trawa. W tej chwili czolo oddziału ukazało się w polu widzenia, jak na scenie. Podniosłem mimowolnie rękę, by otworzyć okno. Doktor zbliżył się do mnie, dotknął moich palców, zaciśniętych już wokół nikielowej klamki i powiedział tonem serdecznej prośby:

— Niech pan nie otwiera okna. Powietrze jest zbyt chłodne.

Tymczasem oddział żołnierzy wypełnił pole widzenia całkowicie. Szli równym krokiem w takt wesołego marsza. Na chodniku pojawiła się gromadka dzieci. Wszystkie biegle za wiodącą oddział orkiestrą. Myślałem przez chwilę, że może choć jedno z nich się zatrzyma — ale nie, biegle, nie tyle zapewne zaszuchane w muzykę, która organizowała krok maszerującego oddziału, co uwiedzione samym krokiem. Zauważyłem, że gdy zrównały się z orkiestrą, ustawiły się w kolumnę marszową i szły teraz pod ten sam takt, nieznamennie tylko wydłużając krok swoich maleńkich nóżek, by opadały one na bruk w tych samych odstępach czasu, co czarne, błyszczące, wysokie buty żołnierzy.

Doktor patrzył przez chwilę z ciekawością w ślad za moim spojreniem, poczem otrząsając się jak gdyby z uczucia pół-przyjaznego, pół-ironicznej obojętności wobec krnąbrnego pacjenta, chrząknął, przerywając ciszę.

— Dziś jeszcze zwalniam mój pokój, doktorze — odpowiedziałem mu spokojnie.

Doktor zapalił papierosa. Nigdy nie palił tu wówczas, gdy zjawiałem się kilkakrotnie dla ustalenia danych dotyczących mojego ciała. To też błękitny dym, wyraźnie klębiący się w prześwietlonej przestrzeni między oknem i ptasią głową doktora znać tył, co dym ofiarnego stosu na którym starożytni spalali jagnię dla bogów. Doktor przekazywał mi ten sposób siłom nad którymi nie posiadał już żadnej władzy. Ale robił to nie z własnej woli, tylko na wyraźne moje żądanie. Sam najchętniej nie brał na siebie za to żadnej odpowiedzialności. I jakby dla zdemontowania, że nie chce z jednej strony ponosić żadnych moralnych konsekwencji mojego nierozważnego kroku, z drugiej zaś — że nie zamierza mi przeszkodzić, doktor W. odrzucił niedopałek do popielnicy z brązu i podszedł do emaliowanej umywalni, stojącej w rogu pokoju. Nowoczesny Pilat mył ręce ciepłą wodą, czarnym, okrągłym mydłem Pearsa i wycierał starymi każdym palec i wnętrze dłoni miękkim ręcznikiem. Taki sam ręcznik wisiał w moim pokoju. Zawdzięczałem mu pewnego rodzaju oparcie dla znużonego oka, które mogło spocząć wreszcie po ciemności bezsennej nocy na jego matowej bieli, gdy pierwszy świt znaczył deszcz kretonowych firanek, a pierwsze ptasie głosy zaczynały niewczesną kolysankę.

Paweł Hertz
(dalszy ciąg nastąpi)

TRESC NR. 12:

Celina Bobińska — „Komisja edukacyjna“ klasy robotniczej. Henryk Jabłoński — TUR wczoraj i dziś. Mieczysław Jastrun — Rozmaitości. Jadwiga Siekierska — Drogi kultury. Stanisław Dobrowolski — Formy i drogi pracy TUR-owej. Tadeusz Żermowski — Koncesja robotniczych domów kultury. Stefan Żółkiewski — Komentarz. Anna Kamińska — Dyskusja o Uniwersytetach Ludowych. Ryszard Matuszewski — O właściwej roli Uniwersytetów Ludowych. Zdzisław Libera — Ideały wychowawcze. Jan Kołt — Szklana menażeria w Teatrze Kameralnym. Stefan Otwinowski — W Krakowie. Tadeusz Hołuj — Uwagi o upowszechnieniu kultury w ZSRB. Przegląd Prasy. Korespondencja.

LECH BUDRECKI

Flamandzki Rabelais dziewiętnastowiecza*)

Od ukazania się „Dyla Sowizdrzała“ upływa już prawie 80 lat. Stanowi on od dawna ściśle ustaloną pozycję w literaturze XIX. wiecznej, mieszcząc się niemal bez zastrzeżeń w nurcie pozytywizmu. To nie zbieżność chronologiczna z powieściami Champfleury'ego czy też z teoriami socjologicznymi Comte'a, ale przekonania społeczne, ale przesłanki ideologiczne de Costera pozwalają nam na pomieszczenie jego powieści w ramach tego właśnie prądu. Nie jest także dziełem przypadku fakt, że pojawienie się „Dyla Sowizdrzała“ wyprzedza o kilka co najwyżej lat wystąpienia naturalistów, a zarazem i rozwiniecie optymistycznych złudzeń, co do możliwości urządzenia świata na wzór republiki Ludwika Filipa. Wiara bowiem w liberalizm jako w najwłaściwszy systemat porządku socjalnego patronuje jeszcze książkom de Costera w niemniejszym chyba stopniu, co i utworom Edmunda About, aczkolwiek pisarz belgijski lansował ją znacznie ostrożniej.

Mimo pozorów jednak autor „Bractwa tłustych gęb“ należy do apologetów zwycięskiego mieszczaństwa, którzy albo wysławiali „szlachetnych“ przemysłowców i „dobrych“ bankierów, albo też apoteozowali przeszłość własnej klasy. Staje się to zupełnie wyraźnym przy analizie wyboru samej tematyki oraz przy rozpatrywaniu jej specjalnego ujęcia, jakie ma miejsce choćby i w „Dylu Sowizdrzała“. Tutaj daje się bardzo łatwo uchwycić różnica zachodząca pomiędzy de Costerem, a Barbey d'Aurevillem, różnica niezwykle istotna, gdyż rozstrzyga ją o wyodrębnieniu tego pierwszego spośród pisarzy uprawiających naówczas ten sam rodzaj literacki, a mianowicie powieść historyczną. Jest to o tyle ważne, że ewokacja odległych epok, zjawisko niewątpliwie interesujące artystycznie, świadczy zazwyczaj o zniechęceniu do otaczającego nas układu polityczno-socjalnego, względnie też o dążeniu do odnalezienia utraconej z biegiem historii szczęśliwości. Owe niezadowolenie ze współczesności nakazywało przecież niektórym pisarzom opiewać wdzięki średnio-wieczna i rozkosze ustroju feudalnego (właśnie casus Barbey d'Aureville). Choć postawa taka występuje bardzo często, nie jest ona ani jedyną, ani też powszechną konsekwencją poruszania tematyki historycznej. Autor „Dyla Sowizdrzała“ jest właśnie jednym z tych nielicznych ówczesnych powieściopisarzy historycznych, którzy nie mieli z nią nic wspólnego. Jego wspomnienie raju utraconego, lecz wyśławianie przodków walczących o to, co późniejsze pokolenia zrealizowały.

Sądząc iż dla udowodnienia tej tezy należało by się zastanowić nad tym wydarzeniem historycznym, które posłużyło za tło „Sowizdrzała“. Jest nim jeden z najbardziej szczególnych faktów dziejów nowożytnych, a mianowicie wojna niderlandzka, ciągnąca się przez 80-te i 90-te lata XVI stulecia. Stanowi ona zaledwie wstęp do późniejszych starć pomiędzy wzrastającymi siłami mieszczaństwa, a szlachtą, usiłującą zachować swój dotychczasowy prymat socjalny. W wojnie

tej pierwiastki sporów narodowościowych ukazywały się drugorzędnie i mało wartościowymi, ba nawet konflikty religijne, które liczni historycy uważali za właściwy powód zaburzeń obejmujących całą ówczesną Flandrię i Brabancję postadały dużo mniejsze znaczenie, niż na ogół mniemano. Sprawą pierwszorzędnej wagi jeśli chodzi o przyczyny bezpośrednie okazały się podatki nałożone przez Filipa II na mieszczan oraz na część wielkich posiadaczy ziemskich (osławiony 10 grosz). Uczynienie z tych właśnie

wypadków przedmiotu powieści posiada swoją zupełnie oczywistą wymowę, którą pisarz akcentuje opowiadaniem się za słuszością racji reprezentowanych przez obywateli holenderskich i belgijskich miasta. W ten sposób zamiast obrazu jakiejś niegdyś realnie istniejącej krainy wszelkiej szczęśliwości otrzymujemy dzieje walk jednej warstwy socjalnej o obalenie ustroju dającego absolutną przewagę innej warstwie, ustroju nie pretendującego nawet do tytułu najprawdopodobniejszego.

Jednak właściwe nasświetlenie aspektu zapatrywania światopoglądowego de Costera dać może dopiero zbadanie zafałszowań i przełamań historycznych, których w swym dziele dopuszcza się autor. Dotyczą one rzeczy podstawowych i w żadnym wypadku nie mogą być usprawiedliwane ignorancją. Powstały one jedynie na skutek pewnych zamiarów autorskich, które wymagały właśnie bardzo specjalnego spreparowania ujęcia przebiegu powstania. Przede wszystkim nie tylko usunięto zagadnienia starc religijnych na drugi plan (ani Sowizdrzał, ani Maciek Brzuć, choć, ani ktokolwiek z guezów nie walczy o te lub inne dogmaty religijne, nie tylko podkreślono socjalny charakter tych właśnie wydarzeń, ale nadano im nawet cechy klasowej wyłączoneści. Wyeliminowano z udziału w tej swoistej rebelii chłopstwo flandryjskie, umieszczając rycerstwo i arystokrację po stronie przeciwnej tak, że w wyniku podobnych deformacji przekonywujemy się, iż oprócz mieszkańców Brugge, Antwerpii, Gandawy i jeszcze kilku miast holenderskich z królem Filipem nie walczył nikt. A jest to przecież całkownie sprzeczne z informacjami, jakie dają nam dokumenty. Wielu spośród guezów pochodziło ze wsi, a udziału panów flandryjskich nie należy w żadnym wypadku lekceważyć. Tymczasem rola ich została w książce de Costera sprowadzona do wyłonienia z guezów nie przywódcy: ks. Wilhelma Orańskiego. A i to głównym bohaterem przeciwstawionym stale królowi hiszpańskiemu, zostanie nie on, lecz syn zwykłego węglarza, Dyl. Wszystko świadczy o zupełnie celowym nadawaniu wyrazów, stanowiącym przedmiot utworu, przymiotów rewolucji mieszczańskiej, co też pogięto za sobą konieczność przypisywania „bojownikom“ o wolność miast niderlandzkich jakiegos programu opartego o liberalizm, jakiejś deklaracji „praw człowieka i obywatela“. („Dyl Sowizdrzał“ walczy przecież nie o inne tylko o „wolność sumienia“, jak to zaznacza na wstępie sam autor). Antycypowanie hasel politycznych aktualnych w początkach XIX wieku przez powstańców holenderskich jest lekcją u podłoża której leży niewątpliwie zamiar stworzenia apoteozy idei niepodległościowej na terenach dzisiejszej Belgii i Holandii.

Dążności te przenikły i do elementów formalnych powieści. De Coster pokusił się bowiem o to, co uważano za niezwykle trudne do osiągnięcia, a mianowicie o dostosowanie swego dzieła do norm literackich tej epoki, którą opisywał. Nie mogąc, a zresztą i nie chcąc wprowadzić swojej interpretacji człowieka XVI-wiecznego, zdecydował się przybliżyć maksymalnie sposoby ujmowania świata, do tych jakie istniały naówczas. Osiągnął to za pomocą daleko posuniętej atylizacji, która nie poprzestała jak to dzieje się zazwyczaj w powieściach historycznych na archaizowaniu języka dialogów, ale objęła także formy narracji autorskiej. Stają się one tutaj najbardziej zbliżone do sposobów wypowiedzi pisarzy mieszczańskich XVI wieku. (Stąd też i owe co chwila dające się odkryć związki z Rabelaisem). I dlatego zamierzona przez de Costera apologia heroicznego okresu własnej grupy socjalnej jest zupełna. Nie wiele można do niej dodać, nie wiele ująć.

Pieter Breughel 1530 - 1569



Duże ryby pożerają małe (Aberlina, Wiedeń)



Wiosna (Aberlina, Wiedeń)

*) Karol de Coster „Osobliwe przygody Dyla Sowizdrzała“ z przedmową Romain Rollanda tłum. Przeclaw Smolnik, Sp. Wyd. Książka 1946, str. 484.

Lech Budrecki.

Na temat książki prof. Hirszfelda

Zwrócićśmy tu uwagę na mankamenty okazałe wydanej książki prof. Hirszfelda pt. „Historia jednego życia“. Powstrzymując się sami od obszernej krytyki tego, budzącego w całym szeregu punktów najwyższy sprzeciw, wydawnictwa, ograniczamy się do podania głosów o tej książce, jakiego nas doszły, bądź za pośrednictwem prasy, bądź bezpośrednio — ze strony najmiarodajniejszych w tym wypadku przedstawicieli społeczeństwa żydowskiego i towarzyszy losu prof. Hirszfelda w gęticie warszawskiej.

W organie żydowskiej socjalistycznej partii robotniczej „Poalej Sjon“ — „Nasze Slovo“, F. Herzberg pisze:

„Nie znam się na bakteriologii i serologii. Nie mogę zająć stanowiska wobec zasług prof. Hirszfelda dla nauki i cywilizacji europejskiej. Ale jedno wydaje się mi w nim, jako naukowcu charakterystyczne: niezwykła, niespotykana wśród prawdziwych wielkich uczonych — megalomania.

Nie wiem, czy rzeczywiście prof. Hirszfeld w tych dziedzinach nauki był i jest osia, dookoła której obraca się wszystko. Ale wiem to na pewno, że żaden wielki uczone, żaden Pasteur, Koch, Curie-Skłodowska, Piotr Curie, Einstein nie napisaliby o sobie mniej wieści tak:

Str. 89: „moja odpowiedź (w sprawie Gorgonowej) dyskwalifikująca do pewnego stopnia orzeczenie poprzednich ekspertów dosłownie wstrzasnęła krajem... Przeżyłem wówczas popularność divy operetkowej.“

Str. 109: „mój materiał sądowy był największy na świecie.“

Str. 133: „dość, że przemówienie (Hirszfelda) wywołało ogromny entuzjazm.“

Str. 182: „i siedzę w zimnym pokoju obok kuchni usunięty i obolały, budując przyszły gmach nauki o grupach krwi.“

Str. 139: „do otwarcia przewodniczący pod-

chodzi do mnie i przeprasza, że nie wymienił mojego nazwiska.“

Str. 145: „przewodniczący dzięki für den formvollendeten Vortrag.“

Autor artykułu zwraca uwagę na szczególną dążność do sublimowania przez Hirszfelda jako autora własnych uczynków, nie idealistycznych, a czasami wręcz egoistycznych i nadawania im cech bohaterstwa. „Po ubiegłej wojnie światowej prof. Hirszfeld zaoszczędzoną walutę zagraniczną bierze ze sobą do kraju. Każdy przeciętny śmiertelnik nie widziałby w tym nic osobliwego. Ale profesor nie żenuje się wcale pisać (str. 71): „pieniądze, które miałem w walucie szwajcarskiej, posłałem do kraju. Przecież waluta potrzebna była krajowi.“

„Pan profesor czyni starania, aby w czasie okupacji niemieckiej wyjechać z Warszawy za granicę. Oczywiście nikt nie może mieć za to do niego pretensji. Ale wydaje się bardzo niesmacznym takie idealizowanie swojego egoistycznego postępków: (Str. 191) „robię nadal starania o prawo wyjazdu. Jestem jednym z wielu, który ewentualnie będzie mógł zawieźć za granicę wieści z kraju. Mam przecież stosunki w Jugosławii i Ameryce, Uwierza, gdy opowiem o tym co się dzieje w Polsce.“

„A więc w staraniach jego o wyjazd za granicę decyduje nie pragnienie uratowania własnej głowy, ale bohaterstwo, patriotyzm, chęć poinformowania świata o tym co się dzieje w Polsce (bo przecież profesorowi Hirszfeldowi uwierzał).“

Kiedy udaje mu się wyjść z getta opanowanego przez hitlerowców, nie cieszy się z tego powodu, że uratował siebie, żonę i dziecko z szalejącej wówczas w ghetcie akcji niemieckiej. Ale cieszy się z tego, że jak przystoi na naturę prawdziwie bohatera... „nie ma się uczucia bitego psa, lecz przynależność

do narodu, co walczy nie tylko pod hasłem życia, a pod hasłem wolności.“

F. Herzberg stwierdza słusznie, że prof. Hirszfeld, opowiadając z zalem, że „Żydzi w ghetcie nie umieli dumnie przeciwstawić się okupantom, on, który tyle mówi o swojej walczacej postawie uczonego i człowieka — w świetle autobiografii wcale nie prezentuje się jako walcząca, cierpiąca za ideały i sprawy, odważna i zdolna do poświęceń natura.“

„Prof. Hirszfeld przeżył czasy burzliwe, czasy rewolucji, wojen i kryzysu. I jakoś to dziwnie mu się w życiu składa, że te różne burzliwe walki przechodzą lekko obok niego i on w nich żadnego udziału nie bierze.

Oto: „w roku 1905 wybuchła rewolucja w kraju i zaczęło mnie ponosić, by wrócić i wziąć udział w walce zynnej. Kupiłem nawet broń, ale wczaj odkładałem wyjazd, aż profesor skończy ten lub ów rozdział, aż wykonam te lub inne doświadczenie i w ten sposób rewolucja skończyła się bez mojego udziału“ (str. 9).

Oto: „W Polsce przedwojennej na uniwersytetach rozgorzała walka z nacjonalizmem endeckim i sanacyjnym. Wszystkie światłe umysły polskiej nauki stają do tej walki. Profesora Hirszfelda nie ma tam. On potrafił się doskonale przystosować do oficjalnego kursu. „W imię tej autonomii nie mieszałem się do spraw nieraz wymagających walki i interwencji, by zachować siły do strzeżenia tego ogniska, którego obrońcą się czułem“ (str. 91).

Kiedy domagała się od niego zwolnienia z Instytutu zdolnego pracownika lekarza Żyda, „nie udało mu się chłopca obronić“. Lekarza Żyda wyrzucili, ale on nie zaprotestował przeciwko temu, nie podał się do dymisji, gdyż jeśli „dowiedział się o tym za granicą, będzie to wyglądało, że w Polsce idzie się w ślady

Hitlera. Nie miałem prawa wywoływania podobnego wrażenia“ (str. 166).

A najciekawsze — to jego postawa walcząca w ghetcie: „jakbym chętnie stanął na czole młodych, gdyby można było przeciwstawić się z bronią w rękę i zginać dla zdokumentowania protestu“. Ale okrzyk ten, to tylko frazes bez żadnego pokrycia. Czyż rzeczywiście, gdyby tylko chciał, nie mógłby przyłączyć się do walczącej młodzieży żydowskiej w ghetcie warszawskim. Przecież w ghetcie dużo było takich młodych ludzi, którzy nie tylko rwali się do walki, ale i rzeczywiście walczyli bohatercko i przeszli do historii jako nieśmiertelni“.

Autor stwierdza i udawadnia na przykładach, że nikt dotąd w literaturze powojennej nie napisał tylu ciepłych słów o będącej osobobieniem łapownictwa i kolaboracji znu policji granatowej, co Hirszfeld. „Prof. Hirszfeld omawiając całokształt stosunku Polaków do Żydów podczas okupacji; dał nieprawdziwy obraz rzeczywistości i świadomie fałszywie pewne fakty uogólniał. Inne zaś — znane mu dobrze — przemilczał.

„Najbardziej oburzającym jest stosunek Hirszfelda do walki Żydów z okupantem. Jak nie czerwona przechodzi przez książkę myśl, że Żydzi nie chcieli i nie potrafili walczyć z Hitlerem, gdyż psychika żydowska nie wie co to bohaterstwo. Przeciwstawiając życie w ghetcie życiu poza nim, w Warszawie w roku 1942 Hirszfeld pisze: „tam życie podziemne stosunkowo niewielkie. Żydzi odczuwają grzeze swego położenia, jako element katastrofy, której nie można przeciwstawiać żadnej siły ludzkiej, można się najwyżej ukryć i indywidualnie uniknąć zagłady. Tutaj czuje się narastania burzy w duszach ludzkich, burzy protestu i odwetu“. Hirszfeld nic nie może powiedzieć o pracy podziemnej organizacji politycznych w ghetcie warszawskim, o semina-

niach i szkołach podziemnych, o szeroko rozwinętej prasie konspiracyjnej, która kulała myśl walki zbrojnej z Niemcami, o grupach bojowych, o nielegalnym przemycaniu z narażeniem życia broni do ghetta. Nie może powiedzieć po prostu dlatego, że nie chciał zeknąć się z tym wszystkim.

Hirsfeld przeżył w czasie okupacji prawdziwą tragedię. Tragedia jego polegała na tym, że z człowieka od dawna oderwanego od wszystkiego, co żydowskie Niemcy zrobili, Żyd, i celem książki jego jest usprawiedliwienie się, wyjaśnienie nieporozumienia. Bieg jego myśli wydaje się być taki: „nie, nie jestem Żydem, pomimo, że byłem w ghetcie. Nawet w ghetcie byłem obcy Żydom, odcinałem się od nich psychicznie i moim szlachetnym charakterem. Widzicie — jak można mieć posiadać o przynależność do Żydów, jeśli jestem wobec nich bardzo krytyczny. Mam te same poglądy na Żydów, co kulturalni antysemici”.

Z sądem F. Herzberga pokrywała się i zaczęła uwagę, jakże na temat książki prof. Hirsfelda otrzymał miły od znajomego specjalisty-histologa prof. Univ. Warsz. dr. Juliusza Zwiabaua. Pisze on:

„Autor książki, wybitny uczynek, okazał się bardzo uzdolniony literacko. „Historia jednego życia” napisana jest błyskawicznie i żywo i czyta się ją z dużym zainteresowaniem, szczególnie, jeśli autora zna się osobiste. Zdumiewająca jest pamięć autora, który ze swojego życia pamięta tyle szczegółów, często o znaczeniu niewielkim, pamięta tyle na zwisk, często mało znaczących. Książka ta liczy bez mała 400 stron, zawarto w niej dużo ciekawych myśli, ciekawe poglądy na szereg problemów związanych z nauczaniem, pracą naukową, wykładami itp.

Z prawdziwą przyjemnością czyta się rozdział opisujący okres studencki. Któż z nas nie wspomina z rozrzewnieniem swojego miastu uniwersyteckiego, czy to będzie Heidelberg-Alt Heidelberg, czy Bononia la docta, czy małe uliczki Quartier Latin! Ten tylko może oddać istotną wartość tych wierszy, kto sam ma takie wspomnienia. O ile jednak wspomnienia poprzedzające rok 1939 dają wiele satysfakcji, o tyle przyznawanie, że następna ich część, głównie opis pobytu autora w ghetcie, czytalem ze zdumieniem i przykrością. Jest tam pełno niechęci, nie-domówień, pominięć, mających głównie na celu wywinięcie osoby autora i jego działalności. Rozdział ten cechuje niezwykle egocentryzm. Pewien stopień tego egocentryzmu byłby zrozumiały, jest to bowiem cecha związana na ogół z każdą autobiografią, ale samo uwielbienie autora przekracza te granice. Jeżeli autor pretendował do dania pewnego rytmu historycznego, pewnego całokształtu życia i ruchu umysłowego w ghetcie od początku aż do powstania, to obraz taki winien był zawierać całokształt nastrojów, dażeń, myśli nurtujących nie tylko jedną i to bardzo nieliczną garstkę lekarzy, z którą autor się stykał i to zresztą tylko na gruncie fachowym, ale obraz wszystkich warstw tego społeczeństwa, bardzo różnorodnego i skomplikowanego.

Obraz życia w ghetcie podany przez autora to jedynie migawki, dobry fotomontaż, nie mogący pretendować ani do ścisłości ani do bokości ujęcia. Autor wprawdzie barwnie opisuje szlaki i prześladowania Żydów w ghetcie i daje żywy obraz tego kłopotliwego życia, ludzi, których przetrzymywanie, ludzi gnających, poniewierających i jakże uciążliwych duchowo, ale zna to życie bardzo powierzchownie. Był jedynie obserwatorem tego życia i to obserwátorem z pogranicza ghetta i dzielnicy „aryjskiej”.

Pomimo całej grozy położenia życie umysłowe w ghetcie płynęło niezwykle żywo, ale o tym autorowi prawdopodobnie nie było wiadomo. O opiece nad dzieckiem, iaka rozkochany Tow. Opiekę nad Dzieckiem „Centos” nad kilkadziesiątoma tysiącami dzieci autor nie wspomina. Organizacja przytulców, schronisk i tak zwanego „Hotelu dla dzieci ulicy”, do kad każde dziecko mogło się zwrócić o kaźdej porze dnia i nocy i gdzie znajdowało niezwykle troskliwą opiekę była bardzo sprawna. Organizacji tej strony życia ghetta pomijać nie należało. Autor wspomina jedynie dwa przytulki dla dzieci: dom dziecka dr. Korczaka i dom tak zw. „Dobrej Woli”. Do my to razem wzięte otaczały opieką wyłącznie co najwyżej 500 dzieci. Były to dzieci uprzywilejowane. Nie daje to oczywiście pełnego obrazu opieki nad dzieckiem w ghetcie.

O organizacji życia w ghetcie we wszystkich dziedzinach pomyślano już od pierwszej chwili założenia ghetta, przed przyjsciem autora książki. W tym właśnie czasie istniały już kursy chemiczne założone przez znakomitego fizyko-chemika prof. M. Centnerswera, które cieszyły się wielkim powodzeniem a wykłady jego słuchano z niezwykłym zainteresowaniem. Również przed przyjsciem autora zorganizowane zostały kursy graficzne, które grupowały bardzo liczna młodzież. Stały one na bardzo wysokim poziomie i wyniki prac w dziedzinie wprowadzaly Niemców. Kursy te powstały najwcześniej, jako reakcja na zakaz uruchomienia drukarni w ghetcie. Również przed przyjsciem autora do ghetta był zorganizowany Kurs Przymosobienia Sanitarne go do Walki z Epidemiami, który był zakonspironym Kursem Medycznym o programie pierwszych dwu lat medycyny. Wykłady na tym kursie cieszyły się niezwykłym powodzeniem, czy to były wykłady prof. Balabana, kiedy mówił o Szpitalnictwie i Opiece Społecznej w ghettach dawnej Polski, czy też wykłady doc. Sterlinga, który mówił o Psychopatologii dziecka. Na wykłady te zbiegala się młodzież z całego ghetta. A jakim powodzeniem cieszyły się wykłady z Bakteriologii i Serologii p. dr. Amzelówny!

Również już bardzo wcześnie dr. Milejkowski stworzył zawiązek Kursów Klinicznych przy Szpitalu „Czyste”.

Służba zdrowia zorganizowana była rów-

nież już bardzo wcześnie. Była ona w ramach dr. Milejkowskiego od pierwszej chwili aż do powstania w ghetcie tj. do 1943 roku, a Rada Zdrowia, która powstała później, to już sprawa zupełnie inna, o której sam autor, słusznie zresztą, wspomina z przykrością. Służba Zdrowia z dr. Milejkowskim na czele pełniła swoją funkcję w okresie likwidacji ghetta w najpotworniejszych warunkach, o których autor nie może zdać sobie nawet sprawy. Ta służba pełniona była przez 3 osoby

STEFAN OTWINOWSKI

„Odrodzenie” po dwuletnim pobycie w Krakowie przeniosło się do Warszawy. Na Basztopowej został sam Przybysz, pierwszy powojenny laureat miasta Krakowa. W tym roku miasto odznaczyło dramaturga Jerzego Szaniawskiego.

Obok nagrody miasta jest jeszcze w Krakowie nagroda Województwa Krakowskiego. Mniejsza — ale za to cztery razy do roku. Tą drugą nagrodą odznaczone zostały kolejno „Wielkanoc”, „Noc” Andrezejewskiego, oraz wiersze Leopolda Staffa. W tym tygodniu wyróżniona została, jako czwarta Hanna Malewska za całokształt swojej twórczości. Malewska jest autorką czterech powieści historycznych oraz publicystką postępowego ruchu katolickiego.

Jak na miasto niebogie to wcale nie źle. Sześciu laureatów z funduszów publicznych a jeszcze siódmy laureat „Odrodzenia”. Breza. Miasto udowodniło, że umie ocenić swoich pisarzy. Ponieważ „Odrodzenie” przeniosło się do Warszawy ostatnią nagrodą wyniosła się także z Krakowa. Następny laureat „Odrodzenia” będzie już nagrodzony w Warszawie.

„Odrodzenie” wynosząc się z Krakowa opublikowało wyniki plebiscytu swych czytelników na najlepszą książkę dwulecia. Ponieważ jury pismo już przed pół rokiem na grodzko Breza, a wyróżniło Żukrowskiego: głosowanie zaś — nagrodziło Żukrowskiego a wyróżniło Breza, powiadział ktoś dowcipnie: to wzór na drogę kierowaną i rozsądnie postępującej demokracji.

Te dwa i pół roku istnienia „Odrodzenia” — Lublin i Kraków — to już i pierwszy tom dziełowej myśli polskiej. Pierwszy tom historii literatury. Nie było chyba wybitniejszej książki, której fragment nie ukazałby się w tym — przez długi, początkowy okres — jedynym literackim piśmie w Polsce. W

dr. Milejkowskiego, dr. Ganca i dr. Kona. Pełniona była nawet jeszcze w bunkrach! O pracy naukowej również pomyślano. Dr. M. Cuncze rozpoczął prace nad rozwojem układu współczesnego a dr. Milejkowski był inicjatorem jedynego na wielką skalę zorganizowanej pracy badawczej lekarzy, o wielkopomnym znaczeniu pracy nad głodem. Zbirowała ta praca w tych dniach już ukaza się na półkach księgarskich. Kto przeczyta wstęp do tej pracy, będący właściwie ostatnim przed-

Polsce zgłodniałej, pragnącej nowej myśli i ostatecznej oceny lat pogardy, „Odrodzenie” stało się księgą rachunkową minionych dni, oraz kartą przyjmującą projekty pisarzy, myślicieli, twórców nowej reformującej się kultury. Na łamach „Odrodzenia” rozpoczęły się wszystkie największe dyskusje, których impet nie kończył się bynajmniej w granicach mody literackiej. Walka o realizm. Ocena dwudziestolecia międzywojennego. Granice formalizmu i psychologizmu. Sztuka a społeczeństwo. Reformy społeczne. Marksizm... Nad rozwiązaniem tych zagadnień pracowali wszyscy niemal postępowi pisarze. I nie tylko krasopisarze. Wszyscy znający, że myśl literacka nie jest tylko zjawiskiem okazowego kunsztu, ale awangardą postępu społecznego i ekonomicznego.

Dyskusje teczyły się nie tylko na łamach pisma, ale i wewnątrz redakcji. W jej gościnnych pokojach zbierali się wszyscy aktywni intelektualni Krakowa, zastanawiając się nad troskami życia kulturalnego. Wyniki tych obrad znaczący duzo dla porządku praktycznego w mieście. Przedyskutowana została gruntownie sprawa polskiego repertuaru w teatrze. Polskie program dwóch scen „Teatru Starego” z tych postanowień wziął swój początek i swoją siłę. Z inicjatywy „Odrodzenia” toczyła się wielka, publiczna dyskusja między katolikami i marksistami.

W czasie koleżeńskie go pożegnania red. Kuryluka wspominał sobie wszystkie te sprawy, nie zapominając, o sprawie dowcipu. J. A. Szczepański, dzielił się z nami radością, że „Odrodzenie” odzyskał swoje napewno nie będzie wykreślało w Warszawie je. go antykatolizacji zdań w felietonach, pozatem: budujących.

Prof. Sieradzki, wybitny krakowski matematyk, tak się przejął ostatnim ugodowym tonem pisma, że pożegnał prza

śmierciowym słowem jej inicjatora, ten zrozumie, jaka wielkością był ten „drobny” człowiek, o którym mówi autor książki. Takich „szczegółków” w książce, tak dokładnie opisywanej życie własne nie należało, myślę, pomijać. Czytelnik nieorientowany w stosunkach mógłby istotnie pomyśleć, że całe to zbiorowisko ludzi nie było zdolne do żadnego czynu, nie znalazło, do przyjscia autora do ghetta n'kogo, kto wziął na siebie „misję” prowadzenia młodzieży”.

mówienie zakończył apostrofami zgola idealistycznie - konserwatywnymi.

Usprawiedliwiony załamaniem się takiego autorytetu przyznałem się wreszcie i ja do wzruszeń psychologiczno - sentymentalnych, poczem chwaliłem Kraków. Zauważył ktoś, że gdyby nas podsłuchał ks. Piwowarczyk, pomyślałby, że Kuryluka żegnają współpracownicy „Tygodnika Powszechnego”.

P. S. Przejrzałem w którymś z ostatnich numerów „Tygodnika Powszechnego” samochwalną notatkę, że pismo zachowuje specjalną kurtuazję w stosunku do swych ideowych przeciwników, Rzeczywiście. Bar dzo kurtuazyjnie i dowcipnie przekreślił moje nazwisko w tytule niezrozumiałej dla nikogo notatki. O! — kpinkowski, śmieszne! Te go rodzaju kpinkami zabawiają się uczniowie w piśniarkach szkolnych. I to nie wszyscy. Tylko albo o słabym zmysle humoru, albo bar dzo ordynarni. Kiedyśmy z Włodkiem Pietrzakiem zaczynali w gimnazjach kaliskich polemiki, powiedzieliśmy sobie, że walczmy z pomocą przekreślenia nazwisk nie będziemy.

Zrezygnowałem z przekreślenia nazwiska Pietrzaka, mając nadzieję, że dziś mając lat trzydzieści siedem muszę zrezygnować z trudu odkrycia sensu humorystycznych wystąpięć anonimów. Kończona wzajemka, że informując nie czytał tekstu spreparowanego przez przeprowadzającego wywiad reporter, jest rzeczywiście prawdziwa i przez współpracownika „Tygodnika” sprawdzona. W kogo więc godzi notatka — w młodego reporterka? Czy nie zbytek kurtuazji: przedru kowywać zdania naogół poprawne, w których nieczego dziwnego nie mogli się dopatrzeć na wet przyślegli współpracownicy „Tygodnika”?!

A może to pomysł redaktora: kurtuazja dla przeciwników przez ośmieszenie własnych prac.

Stefan Otwinowski

W K R A K O W I E

(list piątasty)

Międzynarodowe Stowarzyszenie Uniwersyteckich Profesorów i Wykładowców

Międzynarodowe Stowarzyszenie Uniwersyteckich Profesorów i Wykładowców („Lecturers”) wyłania się stopniowo z dyskusji nauczycieli uniwersyteckich i pracowników naukowych, którzy tymczasowo przebywali na terenie Wielkiej Brytanii w latach ostatniej wojny. Łącznie z nielicznymi kolegami brytyjskimi utworzyli oni „Stowarzyszenie Profesorów i Wykładowców Krajów Sprzymierzonych w Wielkiej Brytanii”, które współdziałając z innymi organizacjami interesowały się powojenną przebudową wychowania. Gdy zbliżał się czas wyjazdu z Anglii i powrotu do własnych krajów członków stowarzyszenia, rozważano sposoby kontynuowania współpracy i na ogólnym zjeździe w dn. 25.IX. 1944 przyjęto statut tymczasowy stowarzyszenia Międzynarodowego Uniwersyteckich Profesorów i Wykładowców (dodatek D); w ten sposób dotychczasowe stowarzyszenie pod nową nazwą nabrało szerszego międzynarodowego charakteru.

Przed wojną rozwijał się ruch zmierzający do kooperacji wśród pracowników uniwersyteckich. W r. 1934 została zainaugurowana „Międzynarodowa Konferencja Uniwersytecka”, przez stowarzyszenie uniwersyteckich nauczycieli Zjednoczonego Królestwa Konferencją w Oxfordzie, po której odbyły się: konferencja w Grenoble, 1935, w Heidelbergu, 1936 i w Szwajcarii, 1938. Statuty konferencji wskazywały drogę ku organizowaniu luźnej federacji stowarzyszeń narodowych.

Cel stowarzyszenia polega na utworzeniu związkowej organizacji o ustroju demokratycznym. Statut pozostaje tymczasowym aż do zatwierdzenia przez Radę Centralną, zlozoną z wybranych przedstawicieli dostatecznie dużej liczby „grup narodowych”. Sposób tworzenia grup narodowych zmienia się wedle okoliczności. W Szwajcarii już istniejąca grupa narodowa weszła ze wszystkimi swymi członkami w skład Międzynarodowego Stowarzyszenia. W Belgii, gdzie nie było jeszcze grupy narodowej, powstała nowa i połączyła się ze Stowarzyszeniem Międzynarodowym. W Królestwie Zjednoczonym, gdzie istniało Stowarzyszenie dla Anglii, Walii i Północnej Irlandii oraz drugie dla Szkocji, połączyli się ich członkowie w jedną grupę narodową, pozostawiając wstęp otwarty dla innych grup i jednostek. Każde z tych stowarzyszeń zachowuje pełną niezależność jako organizacja narodowa; jej członkostwo w Międzynarodowym Stowarzyszeniu oznacza tylko wolę współdziałania w sferze międzynarodowej z podobnymi organizacjami innych krajów. Jeżeli w danym kraju nie istnieje jeszcze stowarzyszenie narodowe, poszczególne jednostki mogą stać się członkami centralnego stowarzyszenia, z widokami na rozwój późniejszy grupy narodowej, gdy zo-

stanie osiągnięta odpowiednia dla reprezentacji całości liczba jednostek.

Cele stowarzyszenia zostały przez jego założycieli przedstawione w Statucie tymczasowym. Stanowi je w ogóle rozwój akademickiego braterstwa wśród uniwersyteckich nauczycieli różnych krajów, popieranie wolności nauczania i badania, rozwiązywanie problemów akademickich, stawianych przez samo stowarzyszenie, czy też wskazanych mu przez rządy lub uniwersytety poszczególnych krajów albo przez Unesco.

Stowarzyszenie nie zamierza prowadzić prac, jakie są zadaniem specjalnych międzynarodowych towarzystw, jak np. historyków, geografów, chemików itp. Polem działania stowarzyszenia nowego jest Uniwersytet jako całość; zamierza ono zajmować się sprawami, które dotyczą nauczycieli uniwersyteckich i pracowników badawczych, jako takich, natomiast usuwać się z dziedziny zainteresowań towarzystw specjalnych.

Określenie problemów poszczególnych do zbadania należy do w pełni zorganizowanego stowarzyszenia, nie trudno jednak zasugerować różnorodne zagadnienia, wymagające rozważania międzyuniwersyteckiego. Jako przykłady mogą być zacytowane: ułatwianie wymiany zarówno wykładowych jak studentów między poszczególnymi krajami, zbadanie kwalifikacji, stopni i dyplomów w celu lepszego zrozumienia ich ekwiwalencji, zagadnienia dotyczące funkcji uniwersytetu i jego stosunku do społeczeństwa, pożądanych kwalifikacji studentów wstępujących na uniwersytet, typów wykładów i metod ćwiczeń, porównywania uniwersytetów różnych krajów, środków, jakimi uniwersytet może służyć zdrowiu studentów. Liczne inne problemy podobnego rodzaju mogą być wskazane, zagadnienia, które stale podlegają rozważaniam nauuczycieli uniwersyteckich i badaczy w każdym kraju.

Praca została zapoczątkowana przez wydanie dwóch memoriałów. Wydano memoriał: „Funkcje międzynarodowe uniwersytetu”, przyjęty przez grupę narodową Królestwa Zjednoczonego 14.XII. 1945, przez Komitet Wykonawczy Stowarzyszenia 25.I. 1946, z zamiarem rozpowszechnienia go wśród innych grup narodowych w celu przeprowadzenia dyskusji i zebrania komentarzy oraz przekazania następnemu Radzie Centralnej.

Drugi memoriał: „Zdrowie studentów”, przyjęty został 25. VI. 1944 przez Ogólny Zjazd Towarzystwa, jako zapoczątkowanie gromadzenia i porównywania danych z różnych krajów, celem wprowadzenia zmian, ulepszeń w praktyce na tym polu. Ustanowione zostały bardzo przyjacielskie stosunki z Unesco, co wydaje się mieć duże znaczenie dla skuteczności działań Stowarzyszenia.

Stowarzyszenie zamierza ogłaszać kilka razy do roku periodyczny komunikat, co już zostało zapoczątkowane przez Stowarzyszenie krajów sprzymierzonych.

Sprawa składek członkowskich dla Stowarzyszenia w okresie organizacyjnym jest przedmiotem porozumienia między Stowarzyszeniami Narodowymi i Centralną Radę Stowarzyszenia Międzynarodowego. W panujących warunkach, przy różnorodności organizacji różnych stowarzyszeń narodowych trudno uogólniać stawki; dla informacji podaje się, że Belgia, przy 500 członkach, płaćla w 1946 r. równowartość 100 funtów, Szwajcaria z 800 członkami równowartość 60 funtów, Zjednoczone Królestwo z 1800 członkami 200 funtów. Dla członków indywidualnych składka wynosi 10 szylingów.

Biuro centralne Stowarzyszenia znajduje się w Londynie (3 Endsleigh Street, London, W. C. I, Prof. r. Douglas Laurie, Hon. General Secretary) (International Association of University Professors and Lecturers, Constitution and Purpose).

II Zjazd Generalnej Konferencji (Międzynarodowego Stowarzyszenia Profesorów i Wykładowców Uniwersyteckich) został wyznaczony na dni od 9.IV do 14.IV 1947 roku w Uniwersytecie w Brukseli.

Główne posiedzenia zostaną poświęcone dyskusji w sprawie dwóch memoriałów, przygotowanych przez Stowarzyszenie, dotyczących funkcji międzynarodowych uniwersytetu oraz odpowiedzialności uniwersytetu za urządzenia zdrowotne dla studentów. Sprawa o dużym znaczeniu, która ma być rozważana, jest współdziałanie, jakże ma być rozwiązane między MSUPW i Unesco; spodziewane jest przybycie na zjazd przedstawiciela Unesco. Dalszy przedmiot dyskusji o dużym praktycznym w dzisiejszych czasach znaczeniu stanowi sprawa udziału studentów w pracy na rozmaitych wydziałach uniwersyteckich.

Adres: The Conference Secretary, I. A. U. P. L., 3 Endsleigh Street, London, W. C. I.

DODATKI

I. Statut tymczasowy Międzynarodowego Stowarzyszenia uniwersyteckich profesorów i wykładowców, przyjęty na VI ogólnym zjeździe Stowarzyszenia uniwersyteckich profesorów i wykładowców krajów sprzymierzonych w Wielkiej Brytanii, 25.IX. 1944.

Główne punkty:

Cele: Rozwój braterstwa akademickiego wśród nauczycieli uniwersyteckich i pracowników naukowych. Popieranie niezależności i wolności nauczania i badania. Rozważanie wszelkich zagadnień uniwersyteckich. Badanie problemów wskazanych przez rządy lub inne właściwe ciała. Popieranie współdziałania

między przedstawicielami różnych gałęzi nauki i koordynacji ich osiągnięć. Współpraca z innymi organizacjami o podobnych zainteresowaniach, głównie z istniejącymi już narodowymi stowarzyszeniami uniwersyteckich profesorów i wykładowców, międzynarodowymi organizacjami profesorów i pracowników naukowych poświęcających się specjalnym przedmiotom i z organizacją Zjednoczonych Narodów dla spraw wychowania i kultury.

Członkostwo: Członkami Stowarzyszenia mogą być profesorowie i wykładowcy uniwersyteccy oraz inne osoby o stanowisku podobnym, które przyjmują zasady niezależności i wolności nauczania i badania.

Władze: Rada Centralna, najwyższa władza, złożona z członków wybranych przez grupy narodowe po dwóch na 3 lata; coroczne posiedzenia.
Komitet Wykonawczy, złożony z 7 członków

wybranych przez Radę spośród jej członków na rok; 4 posiedzenia rocznie. Konferencja Generalna, składa się z wszystkich członków Stowarzyszenia, zwoływana przez Komitet Wykonawczy raz na 3 lata.

Grupa Narodowa, złożona z członków poszczególnych krajów, w których obowiązują zasady niezależności i wolności nauki i nauczania; grupy narodowe wybierają członków Rady Centralnej.
Natalia Gąsiorowska



Na marginesie paktu przyjaźni

Między Polską a Czechosłowacją został zawarty pakt przyjaźni. Dla ludzi, którzy biorą sprawy po prostu patrząc na mapę i w perspektywie historii, rzecz ta musi wydać się najoczywistszą pod słońcem. Zdziwienie wywołuje może co najwyżej fakt, że stało się to tak późno. Ale podobnie jak z wycieczką samolotem trudno często zdać sobie sprawę z wyniosłości terenu leżącego u naszych stóp, tak ani spojrzanie na mapę, ani nawet najtrudniejsza kalkulacja niezamąganego rozumu nie jest w stanie dać nam wyobrażenia o istotnych przeszkodach jakie przezwyciężyć musiało to sąsiedzkie porozumienie. Między Polską a Czechosłowacją przez długie lata panowała nieufność. Mamy jednak pewność, że te zastarzałe pokłady uprzedzeń i niechęci przekreśli obopólna wola sąsiedzkich narodów. Z drugiej strony — nie byłibyśmy realistami, gdybyśmy nie uważali, że ta decyzja, to dopiero hasło i apel do konsekwentnej i wytrwałej pracy nad obaleniem nagromadzonych przeszkód na drodze do wzajemnego braterstwa dwu państw tak sobie bliskich geograficznie i politycznie, tak się wzajemnie używających, gdy chodzi o wykazywane na przestrzeni ostatniej setki lat tendencje historyczno - kulturalne.

Nie jest to sprawa dni, nie jest to nawet sprawa miesięcy — wymienczenie z zakamarków myślenia owych osadów nieufności, oczyszczenie komór pamięci ze wspomnień nie zawsze najlepiej układających się sąsiedzkich stosunków. W niektórych głosach opinii czechosłowackiej dziś jeszcze, po zawarciu paktu przyjaźni i przy jego okazji, nie brak ujawniających się oznak goryczy. Załatwienie spornych spraw granicznych odłożone zostało za obopólną zgodą obu rządów na przeciąg najbliższych dwa lat. Pozostają sprawy niezakończony, pozostają węzły, które tylko z największą uwagą i cierpliwością należy rozplątać do rozplątania których musi dopiero zostać stworzona właściwa atmosfera, właściwy klimat — klimat przyjaźni i zaufania. Mówi się dziś i pisze o tym, że przyczyną braku zrozumienia pomiędzy społeczeństwem polskim i czeskim, jest różnica ich struktur społecznych: szlacheckość Polski, ludowość i mieszczaństwo Czechosłowacji. Jest w tym, jeśli chodzi o przeszłość, niewątpliwie wiele prawdy. Polska przedwzrośnięta, której rząd mógł w momencie zagrożenia Czechosłowacji opowiedzieć się przeciwko niej w sojuszu z hitlerowskimi Niemcami, to Polska, najfałszywszych koncepcji politycznych, społecznych, kulturalnych.

Zawarcie paktu polsko - czechosłowackiego jest najkonkretniejszym dowodem tego, że to co mogło stać się w owym ciemnym okresie naszej historii, nie będzie mogło się powtórzyć. Zamocnienie hierarchi ważności zagadnień narodowych nigdy może w stopniu podobnym nie zdemaskowało rozkładu myśli politycznej warstwy schodzącej z dziejowej areny. Dzisiejsza Polska ma zarówno inne ukształtowanie geograficzne, jak inny ustrój i inną myśl polityczną, dlatego mógł zostać zawarty pakt polsko - czechosłowacki. W szybkim tempie ulega zmianie struktura społeczna naszego kraju. Podległa ona o wiele większym przemianom podczas wojny, niż struktura Czechosłowacji, podobnie jak o wiele większemu zniszczeniu uległ nasz kraj. Dziś nie ma już żadnych absolutnie podstaw do anachronistycznego patrzenia na kulturę polską i czechosłowacką, jako na szlachecką i ludową czy mieszczańską. Różnice są, ale inne. Polska jest krajem robotniczym i chłopskim z niewielką warstwą spauneryzowanego mieszczaństwa i inteligencji. Czechosłowacja jest krajem o wiele silniejszej i bogatszej klasy średniej, o wiele mniej zdemastowanego przemysłu, mocniejszych podstaw kultury materialnej.

Między Polską a Czechosłowacją nie ma różnic typu kultury, bo i w jednym i w drugim kraju współistnieją zmieszane elementy kilku typów kultur. Wszystkie obiektywne czynniki wpływające na cywilizacyjny rozwój składają się na to, aby w chwili obecnej siedli on w obu krajach po jednej linii. Nie ma podstaw do przeciwstawiania kultur polskiej i czeskiej, anachronizmem jest nieufność i rezerwa wynikająca z idealistycznej fikcji t. zw. „różnic charakteru narodowego”. „Charakter narodowy” jest pojęciem historycznie zmiennym, uwarunkowanym przez czynniki polityczne, społeczne, gospodarcze. Jego realnym podłożem są fakty społeczne. Do takich faktów muszą prowadzić polityczne konsekwencje wielkich przemian jakich doznało polsko - czechosłowackie sąsiedztwo po wielkiej próbie lat ciemności. Takie fakty musi stworzyć i umocnić gruntownie tego sąsiedztwa aktami przyjaźni politycznej i gospodarczego porozumienia. Takim faktem musi być zarówno jak najszybsze, ostateczne rozwiązanie sporów granicznych, jak też jak najszersza jak najowośniejsza wzajemna wymiana kulturalna. Kontakt między obu krajami, oparty o wzajemne poznanie, wzajemną ufność i szacunek. Abyśmy w przyszłości mogli być tylko dumni z owoców owego braterstwa, abyśmy mogli pokryć wieczna niepamięcią małostkowe spory o mur graniczny.

Piotr Kruszewski

Kandyd

PRZEGLĄD PRASY

Po krótkim okresie biwakowania lubelskiego, po dłuższym pobycie w Krakowie, Karol Kuryluk wraz ze sztabem technicznym przeniósł się do Warszawy. „Odrodzenie” od dwóch tygodni ukazuje się w Warszawie, w zmienionej formie, ze zmienioną wieniętą tytułową, a co ważniejsze zmienione we wnętrzu.

Okres lubelski „Odrodzenia”, pierwszego pisma literackiego w wyzwolonym od okupanta kraju należy już dziś do historii. Warunki w jakich udało się wówczas mimo wielu trudności i przeciwieństw wynikających z wojny skupić pisarzy i wydać te kilkanaście numerów pisma, które dziś są zdaje się niełatwe do zdobycia, rozgrzeszają całkowicie wszelkie braki i niedociągnięcia, jakie mógłby dziś, zaśladający wygodnie nad lubelskim kompletem „Odrodzenia” stawiać surowy i wymagający krytyk. Proszę przejrzeć pierwsze po wyzwoleniu numery literackich pism francuskich — i te były pełne niedoskonałości, a w nich listy współpracowników nie były jeszcze kompletne, i tam niekiedy może zbyt pochopnie wypisywano recepty na literaturę.

W okresie krakowskim „Odrodzenie”, które z racji swojej naturalnej pozycji było predestynowane na pismo ogólnokrajowe, siła faktów, wobec licznego i żywego ośrodka literackiego w Krakowie, nierz ulegało naturalnej zupełnie skłonności do spoglądania na literaturę z okna domu na Krupniczel, albo przynajmniej z wysokości Wawelu. Mimo to, że może właśnie dzięki tak bliskiemu kontaktowi z licznymi pisarzami i publicystami, zamieszkałymi w Krakowie „Odrodzenie” utrzymywało zasadniczo wysoki poziom literacki i waleńie dopomogło do rozwoju postępowej myśli w kulturze.

Nowa, centralna sytuacja „Odrodzenia” w dzisiejszej Warszawie ma swoje zalety, które odczuwać będziemy wszyscy i wady, które niestety pozostaną już tylko goryczą Karola Kuryluka i przewiezionego z Krakowa sztabu. Myśle tu o trudnych warunkach stolicy.

Zalety natomiast, jak mi się wydaje, będą liczne. „Odrodzenie” pozostając nadal w naderdecyzyjnych związkach krakowskich, nawiąże podobnie bliskie i serdeczne kontakty z innymi ośrodkami jak Kraków. Jak to twierdzi „Dziś i Jutro” z okazji powstania w Warszawie nowych pism, ośrodek warszawski nie jest mocny, to przecież nie gdzieś indziej, ale właśnie w Warszawie mieszka wielu pisarzy starszej generacji, których bliższa współpraca nie tylko honoruje lamy pism, ale i korzystnie wpłynie na temperowanie się wzbudzonych namiętności pokolenia młodszego.

Wole od razu przystąpić do omówienia treści drugiego z kolei warszawskiego numeru pisma, a to dlatego, że numer pierwszy z 9 marca zapewne wskutek trudności związanych z przeprowadzką nie jest jeszcze dość reprezentatywny. Natomiast numer drugi (11 z dn. 16 marca) zaspokoili w całości nasze oczekiwania. Numer jest żywy, wielostronny, pozbawiony zbyt długich prac, bogato ilustrowany. Pierwsza strona przynosi notatkę czechosłowackie Zofii Nalkowskiej, „Z amerykańskiego notesu” wybrane myśli i spostrzeżenia Juliana Tuwima wreszcie nadesłany z Paryża przez Ksawerego Pruszyńskiego artykuł o zamiarach powrotowych decyzjach naszej emigracji. Na stronicy drugiej mamy dalszy ciąg roznoścetej jeszcze w poprzednim numerze wielkiej ankiety na temat wskrzeszenia Akademii Literatury.

Mieczysław Jastrun zamieszcza trzy piękne wiersze: „Meteoryt”, „Wieżor w mieście średnio-wiecznym”, „Przypływ”.

Stronica trzecia poświęcona jest recenzjom — Wyka pisze o Pruszyńskim, Mach o debiucie Kwiatkowskiego. Stronica czwarta została podzielona pomiędzy Francuzów i Jerzego Andrzejewskiego. Mamy więc tu artykuł p. Łopatvińskiego o ostatniej książce Pawła Valery'ego i oddolne powieści „Zaraz po wojnie”.

Dalej korespondencja z Ameryki Nowaka, nieco lekkomyślny i z gruntu niesłuszny w swojej treści felleton Sandaera „Zmowa literatów”. Trudno mi polemizować z Sandaerem w przeglądzie prasy, ale spodziewam się, że Sandauer sam, po przeczytaniu tego co napisał, zechce wycofać się ze swojego stanowiska. W każdym razie, pomijając już całkowicie meritum, którym zapewne zajmie się ktoś z moich kolegów, pytam tylko Artura Samuauera, co to znaczy „literatura formalnie ultraprawowa”, po czym się to poznaie i co z tego wynika?

Na stronicy szóstej znajdujemy skromnie ukrwte wspomnienia, a raczej początek wspomnień, jak to zapowiada redakcja, Jerzego Boreiszy. Wspomnienia te dotyczą właśnie owego biwakowania okresu „Odrodzenia” w Lublinie. Pod piórem osoby tak autorytatywnej w sprawach wydawniczych wspomnienia te, zdewby nawet nie były tak umięciennie napisane jak sa, musiałyby budzić zainteresowanie.

Wreszcie dwie ostatnie kolumny przynoszą tak zwane „drobizgi”, plotki i dowcipy, a co najważniejsze — zapowiedź wznowienia stałej, poczciwej „Camery obscury”. Jakże się to wszystko w Polsce szybko normalizuje...

Niech mi panowie wierzą w dalekim Londynie: i pan, panie redaktorze Grydzewski, i pan, panie Tymonie Terlecki!

Po zaprezentowaniu nowej, warszawskiej edycji „Odrodzenia” wypada nam już tylko złożyć blższemu teraz sąsiadowi życzenia pomyślnej pracy i rozwoju w Warszawie.

Nowy (3) numer „Warszawy” składa się z kilku obszernych artykułów, między innymi z artykułu Maurycego Borsztajna (znakomitego psychiatry) gdzie czytamy wyraźnie, że świat w wieku XX w sposób fatalny i nieodwracalny stanie się łepem typu schizoidalnego, a twórczość literacka wobec tego „nie będzie w żadnym razie” rosła i rozwijała się „w kierunku realizmu, tak charakterystycznego dla wieku XIX, a raczej będzie szła w kierunku przeciwnym”. A może jednak uda się to ją trochę zmienić, panie profesorze?

Za mało piszę się u nas o tak pożytecznym i cennym wydawnictwie, jakim jest „Jezyk Polski”. Pismo to ukazuje się co dwa miesiące, zawiera interesujące i popularnie sformułowane prace z zakresu językoznawstwa, a poza tym bardzo obszerny dział poradnictwa językowego, redagowany w formie krótkich artykułków monograficznych, dotyczących danego wyrazu. Ostatni numer „Jezyka Polskiego” za styczeń-luty 47 roku, przynosi między innymi artykuł Jerzego Kuryłowicza na temat „Językoznawstwo rosyjskie ostatniej doby”. Autor krótko streszcza poglądy głoszone przez wybitnego lingwistę Marra oraz zasady lingwistyki rosyjskiej czasów ostatnich. Autor polemizuje z poglądami uczonych rosyjskich i zapowiada zreszta, że ta polemika w obszernej formie ma się ukazać w Roczniku Moskiewskiej Akademii za r. 1946.

Ostatni (1-3) numer „Kamień”, jak zwykle nie jest pozbawiony wad, które z uporem wykłaja redaktorowi tego sympatycznego pisma recenzenci prasowi nie od dziś (przykładem znalazłem wzmiankę o „Kamieniu” w „Ateneum” z 1938 roku). A więc słabe wiersze, okropna tym razem „Kolumna Debutów”, słaba proza. Za to: doskonała w pomysłach kolumna wspomnianych poetów (czy nie należałoby może dawać bardziej obszernych komentarzy?), interesująca kolumna poezji rosyjskiej ułożona według jakiegoś wreszcie schematu, interesujące wspomnienia K. A. Jarworskiego z dni września, ciekawa choć zupełnie nie mogę się z nią zgodzić, rozprawa K. W. Zawadzkiego o wersyfikacji. Autor trwa na pozycjach obrony regularności układu wersyfikacyjnego, a że przy tym jest jednym z najlepszych znawców tego właśnie układu, to też rozprawa zapowiada się zajmująca i byłoby szkudne, gdyby wywołała zaledwo polemikę. Szkoda tylko, że autor broni swoich tez, demonstrując ich słuszność na prymitywnej strofie p. Roberta Stillera.

**KORESPONDENCJA
W sprawie Ministerstwa Kultury i Sztuki**

W toczącej się dyskusji na temat Min. Kult. i Sztuki redakcja otrzymała od jednego z czytelników list treści następującej: (drukujemy z pewnymi skrótami):

Najogólniejszy zarzut jaki stawia się Ministerstwu Kultury i Sztuki, można zdefiniować następująco: ministerstwo to nie umiało w ciągu dostatecznie długiego czasu, bo dwu lat, uzasadnić potrzeby swojego istnienia. Nie pomogła tutaj żadne tłumaczenia przedstawicieli tejże instytucji, że „nie odziedziczono — jak inne ministerstwa — ani doświadczeń ani form organizacyjnych, ani najskromniejszej bodaj kadry ludzkiej” czemu autor zaraz dalej zaprzecza, pisząc: **Każdy z kierowniczych pracowników ministerstwa jest bez wyjątku członkiem tego, czy innego związku artystycznego i dalej, z których niejeden znacznie więcej zdziałał i działa dla kultury polskiej, niż ten czy ów ze stałych bywalców łódzkiego „Klubu Piękwicka”(!) Jakie doświadczenia, formy organizacyjne i kadry ludzkie odziedziczyła u nas np. milicja? A przecież każdy przyzna — gdyby jej wyniki były podobne do dotychczasowych w kulturze, to śmiem wątpić czyby w ogóle doszło do dyskusji w „Kuznicy”.**

Dalsze wątpliwości budzą zdania: „Organizacji tej (tj. Związku Literatów, przyp.) daje państwo „tylko” 6 milionów, ale zapewniam, że na każdą słuszną społecznie i kulturalnie pożyteczną inicjatywę związku znalazłoby się zawsze środki dodatkowe. Wi docznie literatom (tak się daje to zrozumieć) zabrakło konceptu do kulturalnie słusznych spraw i dlatego więcej nie dostali. Dobrze im tak! Wynikałoby jednak z powyższego, że pieniądze byłyby, że właściwie nawet są. Dlaczego wobec tego, nie przyznano im w formie subwencji np. Operze w Krakowie, jedynej w Polsce, którą mimo starań od roku, nie dostała dostojnie, ani grosza? Dlaczego pozwala się, aby Opera, prowadzona przez Towarzystwo Przyjaciół Opery, tj. paru godnych, szlachetnych „maniaków”, miała w chwili obecnej ponad milion zł.

Pożyteczna jest również kolumna walki o czystość języka, tylko zastanawiam się nad tym dziwnym zestawieniem: kolumna walki o czystość. A poza tym wydaje mi się, że to bardzo dobry pomysł!

W notach redaktor „Kamień” walczy z recenzentami, którzy oceniają to pismo i kwestionują niektóre jego pozycje. Ponieważ sprawa dotyczy również i mojej osoby śpieszę wyjaśnić: istotnie, wobec tego, że „Kamień” wychodzi w Chełmie, uważam ja za miesięcznik prowincjonalny, co bynajmniej nie jest określeniem pejoratywnym, lecz tylko prostym stwierdzeniem. „Kamień” dzisiejsza różni się od przedwojennej, drukuje po prostu więcej rzeczy złych niż działo się to dawniej. Dalej: oczywiście podtrzymuję moje zdanie o zbędności tak obfitego przekładania słabych wierszy drugorzędnych poetów serbskich, słowackich, czeskich, chorwackich, dolno i górno-łużyckich itd. Protestowałbym również gdyby redaktor „Kamień” podawał nam do czytania w każdym numerze przekłady z czwartorzędnych poetów francuskich, angielskich czy rosyjskich. Kai zasypuje mnie nazwiskami Czechów, znam je również dobrze jak i oni: Zeyer, Brzeźna, Wolker, Nezyal, ale oczywiście, zgoda, tylko nie w każdym numerze, nie ciągle i nieustannie, bo w swoim zapale „Kamień” przechwytuje już prace wydawnictw popularyzujących zbliżenie słowiańskie, które wykonują oczywiście prace konieczną i potrzebną, ale przecież „Kamień” jest pismem literackim, jednym w tej chwili w kraju miesięcznikiem poetyckim, czyż nie należałoby więc dbać o poziom i o większą selekcję w reprezentowaniu nam literatur obcych? Zapewniam kaja, że w Jugosławii, w Czechosłowacji redaktorzy i tłumacze bardzo dbają o gatunek przekładów z naszej literatury. Takim właśnie postępowaniem najlepiej można się przysłużyć sprawie zbliżenia: przez selekcję, wybór i ukazywanie istotnych i prawdziwych osiągnięć obcej literatury. Nie należa jak mi się zdaje do nich przetłumaczone przez p. Papierkowskiego utwory romanzyków serbskich w nr. 6-7, ani większość przekładów ze słowackiego i czeskiego. Nie wątpliwie pisarze ci mają wielkie znaczenie dla historii literatury swojego kraju, ale poza te granice nie wykraczają, tak jak wielu polskich pisarzy nie wykracza poza granice i nie budzi zainteresowania w innych krajach. Znacznie większym atutem propagadowym byłoby zagranicę któreś z sztuk Krleży, czy przetłumaczenie jego powieści, niż zapoznanie nas z serbskim romantyzmem w piśmie literackim, a nie historyczno-literackim. Jestem uparty i będę się bronil przed inflacją nietrafnie moim zdaniem wyrażanych uczuć słowiańskich, choćby mnie Jaworski zalał jeszcze kilkudziesięcioma nazwiskami z historii literatury naszych sąsiadów i przyjaciół.

ph.

Kuźnica

Koniec epopei

„Nieraz kiedy wracam z polowania, a dojmujące zimno jesienne i dym ścielący się z kartoflanej naci biwak przypominają — zdaje mi się, że mam jeszcze pałasze przy boku, depeszę w zanadrze. Mimowoli wyciągam szyję i śledzę okiem czy droga wolna. Wtenczas władza wspomnienia sama nawet dolegliwość nie tylko znosi, ale i przyjemną robi. Może w części dlatego, że myślę sobie: Jeszcze to zdolam, com zdołał przed laty trzydziestu. Najmilsze jednak budaj wspomnienia obiad późny, myśliwski. Wszystko jak dawniej, tylko, że zamiast marszałka siedzi żona, zamiast oficerów sąsiedzi. Gwar jak tam, tak i tu, a jeżeli mowa o strzałach, to z dubeltówki, jeżeli o zabitych, to o lisach i o zającach. A co najlepsze, że na koniec zamiast wózka pocztowego czeka dobre łóżko...“
Z „Trzy po trzy” Fredry, rks.

Charakter Narodu

Rozważania na temat „charakteru” narodowego są naogół niechlebnymi uogólnieniami przypadkowych obserwacji. A jednak powtarzają się stale, stanowią ulubiony temat t.zw. „głębokiej publicystyki”.
Aby przekonać się, co są warte, poczytajmy sobie także to co myślał o „charakterze” narodowym Anglików Herbert Spencer. (Wstęp do socjologii, napisany w 1873 r., str. 388 i następne):
„Zarzucają Anglikom brak przezorności. Rzadko który angielski robotnik robi oszczędności...“

„Lekkomyślność Anglika uważają powszechnie jako niepojętą właściwość rasy...“
„Holender, pobierając pensję, która by Anglikowi ledwie na życie wystarczyła, zebraby majątek“.
„Anglicy są lekkomyślni, ponieważ przez długie wieki wdrażano ich do lekkomyślności“.
„Rozrzutność stała się u nich nawykniem...“
Jakby to było przyjemnie, gdyby Angli-
cy byli tacy na prawdę? rks.

Ścisłość i dokładność

Władze brytyjskie aresztowały niedawno w m. Huntington d-ra Władysława Derynga, ordynatora polskiego szpitala wojskowego. Dr Deryng rozpoczął swą karierę wojenną jako... więzień obozu oświęcimskiego. Wkrótce otrzymał stanowisko asystenta prof. Clauberga, dokonywał „eksperymentów naukowych” na więźniach oświęcimskich. Prócz tego dr. Deryng zajmował się „selekcją” więźniów, a skazańców białych i malretował w sposób niehumaniczny. Za te „zasiłki” Deryng uzyskał legitymację Volksdeutscha, później wyjechał do Niemiec, gdzie znowu „pracował” u boku Clauberga. Po klęsce Hitlera Deryng uciekł do Włoch i wstąpił do... korpusu Andersa, gdzie otrzymał stopień porucznika - lekarza. Wraz ze swym oddziałem Deryng przewieziony został do Anglii — i tu sanitariat andersowski powierzył mu funkcję ordynatora w polskim szpitalu wojskowym w Huntington.
O sprawie Derynga pisała obszernie prasa polska. Nie chciał pozostać w tyle i „Tygodnik Warszawski”, który w Nr. 9 ogłosił następującą notatkę:



„Prasa codzienna doniosła, że władze brytyjskie aresztowały naczelnego lekarza Oświęcimia d-ra Derynga. Przy okazji wyszło na jaw, że dr. Deryng przebywał po wojnie przez jakiś czas w Polsce i później dopiero zbiegł za granicę“.

Wystarczy porównać przedstawioną wyżej faktyczny stan sprawy Derynga z treścią notatki „Tygodnika Warszawskiego”, by zauważyć od razu jak wiele istotnych szczegółów tej sprawy pominięto w notatce. Dla-
czego — odgadnąć nie trudno. Te charakte-

JAK ZAPRENUMEROWAĆ

»Kuźnicę«

Kuźnicę zaprenumerować można w każdym urzędzie pocztowym wpłacając należność na konto czekowe P.K.O. Nr VII - 567 z oznaczeniem „prenumerata Kuźnicy” oraz podać dokładny adres własny.

PRENUMERATA

łącznie z przesyłką wynosi:
miesięcznie 60 zł, kwartalnie 180 zł

rystyczne przemówienia dają dobre wyobrażenia o stylu, wartości i sensie informacji politycznych w warszawskim „piśmie katolickim poświęconym zagadnieniom życia narodowego“.
bd.

Honor studenta

„W 2 (8) numerze dwutygodnika „Pokolenie“ ukazał się artykuł p. Krzysztofa Gruszczyńskiego p. t. „Przewrót w Monaco“. Artykuł zawiera szereg złośliwych insynuacji, z kłamliwą tendencyjnością i zacietrze-
wieniem, bez kontroli rozumu omawia stosunki na uniwersytetach polskich, krzywdząc przy tym młodzież akademicką i robiąc z wyższych uczelni teren taniego politykier-
stwa“.

Tak pisze w 10 (67) numerze tygodnika „Dziś i Jutro“ p. Andrzej Micewski („Głos Młodzieży“).

Artykuł Gruszczyńskiego, o którym mowa, zastanawiając się nad obliczem naszych wyższych uczelni, porusza szereg ważkich zagadnień, przynosi sporo ciekawych sformułowani i propozycje. Sprawy szkolnictwa w ogóle, wyższego zaś w szczególności, należą do tematów, zasługujących na poważną dyskusję, i z uznaniem należy powitać inicjatorów tej dyskusji. Niewiele natomiast wspólnego z dyskusją mają kwiatki, spotykane w wypowiedzi p. Micewskiego, jak: „niesprawiedliwe i kłamliwe insynuacje artykułu“
„zjadliwy, obrażający studenta i honor wyższych uczelni elaborat p. Krzysztofa Gruszczyńskiego“

„to chyba bzdura, co pan pisze. Panie Gruszczyński, to chyba fałsz“
„złośliwość i brak obiektywizmu, obrażający polskiego akademika“.

Po tego rodzaju „głosie młodzieży“ Gruszczyński niewątpliwie uważa się za pokonanego. Nie dyskutujemy więcej na tematy oświatowe! W grę wchodzi honor polskiego akademika! Nie szargać świętości!



P. S. Ostatnie zdanie „głosu młodzieży“ brzmi nieoczekiwanie:
„Porozumienie osiągnąć można — trzeba tylko dobrej woli, cokolwiek taktu i dużo spokoju“!
Hm... w w

Rekord niuważy

W n-rze 10 (119) „Odrodzenia“ pozostały niezauważone przez korektora błędy czer-
skie bijące wszelkie dotychczasowe rekordy pomyłek drukarskich. Oto w odpowiedzi prof. Tadeusza Sinko na ankietę „Czy wskresić Polską Akademię Literatury?“
nieuważny korektor nie poprawił nazwisk proponowanych przez profesora kandydatów na Akademików Literatury. To też wśród nich czytamy nazwiska i Żukrowskiego i Macha i Voglera.

Jedno mnie w tym niepokoi. Jakże nazwiska tak zniekształcono? Może Borowego, którego tekst drukowany nie wymieniamy? I dlaczego z figlów czereskich wyskoczyły właśnie nazwiska młodych polonistów, którzy napisali po parę recenzji w krakowskich pismach literackich?
rkm.

Nieprzychylny profesor

Stefan Kołaczkowski (Dwa studia W-wa 1934) cytuje wiersz Fredry (Str. 21):

...Gdy nagle miłość przybędzie zabłąźnie,
i wieczną cechę na duszy wyćwiecnie,
Niknie natenczas w jednym oka mgnieniu
Budowla wsparta na niedoświadczeniu —
Budowla, którą rozmyślał rój młody
Mniemał być silną, trwałą wśród przy-
gody,

Którą dziecinnie sklepi i układa;
Pchnięta miłością wali się i pada“.

Tyle wiersza. Uczony komentator opatruje go taką filologiczną interpretacją:
„Wbrew wszelkim konwencjom, uzasad-
nionym zresztą psychologicznie miłość nie

rozbija (?) tu poetę w świat nierealny, w „krajnie marzeń“, lecz dzieje się inaczej. Poeta przemawia tu raczej tak, jak kobieta, która w miłości straciła dziewiczość i otwa-
rzy jej się oczy na pełnię życia. Jest tym przytłoczona, ale wdzięczna życiu za to bo-
lesne doświadczenie i teraz poetyczniejszym jest dla niej nie świat utrud dziewczęcych, lecz świat rzeczywistości. Marzenie o życiu, wobec niego samego, wydaje się teraz czymś niższym, dziecinnym. Skarbu zdobytego nie odda za żadną ułudę, bo posiada tajemnicę życia“.

I to wszystko z powodu bolesnego do-
świadczenia utraty dziewictwa? Istotnie wiele wyczytane.
b. s.

Humor belgijski na uniwersytecie w Gandawie

Pan Haesaert jest profesorem na uniwer-
sytecie w Gandawie. Kilka tygodni temu ukazała się w Belgii jego książka p. t. „Essai de sociologie et notes doctrinales conjointes“, — owoc dwudziestu lat pracy i poszukiwań.

Dzieło to jest bezwzględnie uważane przez p. Haesarta za poważne. Wydaje nam się, że czytelnicy nasi oceniają czy tak jest w istocie.

PROLETARIUSZ

„Umysłowość czarnego robocizna jest prymitywna i mętna. Wynika to być może z jego skłonności i w niemiejszym stopniu z przytępienia powstałego na skutek jego znoju... Jego głównym, przymusowym zajem-
ciem jest pić i jeść. Przyjmuje on to i do tego się ogranicza. Z pełnym żołądkiem jest uszczęśliwiony i beztroski. Myśli mało i wy-
raża się źle. Jego narzecz jest zepsute i płytkie, chociaż czasami oryginalne. Przewidywanie nie jest mu właściwe. Wydaje każdy grosz, który posiada. Ma mało zasad i nie gniebia go skrupuły. Niema nic do stracenia i prawie nic do wygrania. Dlatego też musi być trzymany w cuglach, na co zgadza się bez trudności. Na ogół jest dobrym chłopcem, chociaż skory do kłęcia i wymachiwania pięściami. Jego przytępio-
na wrażliwość czyni go okrutnym dla ludzi i zwierząt, przy nagłych wybuchach litości. Jest wspaniale odporny na skutek przysto-
sowania do wszelkich braków. Intelaktual-
nie i moralnie nosi on na sobie znamiona degeneracji... Buntuje się rzadko. Daży ku rewolucjom — nie wywołując ich“.

KOBIETA

„Zagubiona w życiu publicznym kobieta pozostaje wierna sama sobie. Sama nie wy-
wołuje rewolucji, lecz pcha ku najgorszym krańcowościom, bowiem jest okrutną i wid-
dok krwi podnieca ją niebezpiecznie. Uczu-
ciowa, mająca w sobie psychikę tłumy w większym stopniu niż sam tłum, podniecona jest jeszcze bardziej w okresie periodu... Na skutek jej wpływów, codzienne życie, które byłoby poure, zmierza do luksusu, fry-
wolności i przyjemności. Uwodzi ona mę-
czyznę i bawi go. Pozwala mu wypocząć po zmęczeniu, dając w zamian inne zmęczenie, w którym wyczerpuje go całkowicie.“

Niezdolna do wielkich zbrodni, charakter jej graniczy raczej z możliwością kradzieży, kalumnii, obelgi, rajfurstwa, prostytucji i poronienia“.

REWOLUCJE

„Zdrowy rozsądek nie rozumie tych wy-
padków (rewolucji). W okresie osłabia się rozróżnienie między „moim i twoim“. Wy-
dziedziczeni z ochotą zamieszkują w cudzych mieszkaniach, pod pretekstem późniejszego ich zwrocenia. Kto dotąd nie kradł, — nie czerwieni się na widok kradzieży. Miał pracować, czeka się na wiadomości ze skrzy-
żowanymi rękoma... Rozjątrza się witaliz-
m... Tłum przypatruje się egzekucjom, by mocniej czuć, że żyje... Rozluźnienie oby-
czajów seksualnych nie zna hamulców. Roz-
dwoić się można lub żenić w czasie godziny. Prostytutki wypełniają ulice i nikogo to nie razi. Poronienia, choroby weneryczne, naro-
dźiny dzieci nieślubnych nie są ukrywane. Modny jest homoseksualizm. A wszystko to w imię wolności i owych powyższych, wstrętnych idei. Nowa elita, która tworzy partie, rekrutuje się z awanturników, poli-
tyków, utrzymanków, umysłowo chorych i przyodziania się kilkoma czystymi entu-
zjastami, którzy służą za parawan dla in-
nych... Czy ważne jest, że ktoś mianowany nie umie czytać ni pisać. Wystarczy, by był sansculote. W końcu trzeba jednak, by lu-



Wniosek ostateczny

„Zbytek bezkrytycyzmu zawsze musi nas doprowadzić do ciemnej ulicy bez wyjścia, tak jak świat burżuazyjny doprowadziła bezobowiązkowa konsumpcja cudzych wy-
silków twórczych“. To zaledwie drobna cząstka wypowiedzi jednego z przedstawicieli grupy artystów warszawskich“.
Coś nam to przypomina. Powiedzcie? Przypomi-
na wypowiedzi niektórych naszych kryty-
ków literackich. Trzeba jednak oddać im sprawiedliwość, ta wypowiedź plastyka jest jeszcze mniej umotywowana.
rdo.

ODRODZENIE

Numer redagowany w pociągu Kraków - Warszawa

STANISŁAW MAGKIEWICZ (CAT)

Cel najbliższy*)

Weszliśmy do wojny z Niemcami w 1939 roku na podstawie konwencji wojskowej z Francją i układem politycznego z Anglią —

Stoimy tu wobec faktów — — — — —
— — — — — w sposób podobny
myśleli ludzie z rządu podziemnego w Warszawie, gdy wydali hasło do popełnienia straszliwego sierpniowego samobójstwa — — — — —
— — — — — Marszałek Rydz
ponosi całkowitą odpowiedzialność za klęskę wrześniową — — — — —
— — — — —
Granica na Odrze — — — — —
— — — — — to okoliczność
pomyślna — — — — —
— — — — — niech — — — — —
— — — — — żyje — — — — —
— — — — —
— — — — — demokracja

*) Po dokonaniu pewnych skrótów przedrukujemy artykuł Cata z pisma „Lwów i Wilno”.

W następnym numerze „Odrodzenia” dalszy ciąg rewalacyjnych artykułów Cata p. t.: „Dlaczego — jestem za polityką PKWN-u.”

JULIAN PRZYBOS

Siedziała pod bambusem

Wielkie dzieła wielkich poetów są — nie do ogarnięcia; im głębiej w nie wnikamy, tem mniej zbadane odstawiamy ich warstwy, tak, iż arcydzieła, darząc ciągłą niespodzianką, są wiecznie nowe:

„Siedziała pod bambusem —
bawiła się kaktusem!”

Dwuwiersz ten niepokoił mnie długo. Czytałem, powtarzałem potężne, pełne spokojnej wagi słowa; i czy rytm toczący się ciężko, tok przerywany wprawiał w groźną kamienną zadumę. Tylko wiersz „Dziewczęta błyskały jak ćwierkanie” Tadeusza Różewicza wydawał mi się okrutniejszy w swoim nagim pięknie.

Początkowa analiza polegała na obliczeniu glosek. Wypadło, jeśli wyeliminować znaki przestankowe, 31. Wtedy zliczyłem zgłoski: 14. Spółglosek było 20, samoglosek 17, znaków przestankowych 3. Dręczony jeszcze 37 + 14 + 20 + 17 + 3 = 91... Zrozumiałem, że w obliczu odkrycia nieprzeczuwanych piękności dwuwiersza tembardziej, że od sumy odjąłem 20 i wypadło, początkowo ku memu niepomiernemu zdziwieniu, 91 — 20 = 71.

„Siedziała pod bambusem”... linijka brzmi ca jak pogłos, jedynie „bambus” wydaje się mieć znaczenie ujemne. Lecz czy tak jest w istocie? Gdy wymawiamy to słowo głośno, uderza ucho walor dźwiękowy: „bambus”, dwie gloski „b” w jednym zespole literowym, jakgdyby teza i antyteza!

I potem nagle, przypominające gromobicie ciszy, zestawienie: „bawiła się kaktusem”. Tu znowu występuje gloska „b” w dodatku an tle podobnej, jeśli chodzi stumiony wydzwięk, gloski „i”. Nie umiałbym wyobrazić sobie słowa „bawiła” bez tych dwóch glosek: „awi, a” to brzmiałoby jak kalestwo. Tak jak nie potrafi moje ucho poznać słowa „bambus” bez owych wspaniałych, prawie nalożonych na siebie, dwóch „b”. Bez tych „b” sło wo byłoby słowem — pokraccym kadłubem: „am. us”...

Tylko konsekwentna całość działa mocno, człony zdania kładą się na siebie jak płyty kamienne, szczerze, w nieubłaganym porządku, które przywala lawina ciężkiego rytmu.

JERZY ANDRZEJEWSKI

ZARAZA PO WOJNIE

POWIEŚĆ

Szczerzyc z pierśią demokratycznie wypięcą siedział w swoim gabinecie pod portretem urzędującego premiera i pisać raport pamięta o tem, że ma aresztować Bambusiewicza, który absolutnie głuchy na przemiany społeczne rozmyśla tylko o swoich rozparcelowanych dobrach, żarciu i dziwkach. Skończywszy raport idzie więc i zastaje Bamabusiewicza w klubie, przy kartach. Już ma wyciągnąć nakaz aresztowania, ale w tym momencie jakieś niewinne dziecko nuci za oknem piosenkę, którą kiedyś śpiewała Szczerzywniania. Fakt ten wpędza Szczerzycę w moralno-filozoficzną walkę wewnętrzną na temat czy wolno jednemu człowiekowi aresztować drugiego.

Po tej uciążliwej walce wewnętrznej (dysz, oczy w słup, odbija mu się), dochodzi do wniosku, że było nie było, dziecko za oknem dzieckiem ale zaarrestować trzeba. Wszelako jest za późno, bo Bambusiewicz który wprawdzie nie wiele myśli ale widzi co się święci, wynajmuje rewolwer, strzela i zabija Szczerzycę, tyle, że ten zdążył jęknąć: „wybaczam”.

Wpadają przyjaciele Szczerzyca i nad trupem jego wiodą taki mniej więcej dialog:

ALOJZY FAFERKO

JAK ZOSTAŁEM PISARZEM

Od lat najmłodszych zwracałem powszechnie uwagę; zadziwiałem otoczenie niezwykłą inteligencją. Gdy miałem dwa latka stałem się bohaterem niezwykłego w istocie zdarzenia, które zadecydowało o moim przyszłym losie. Pewnego dnia przyszła do nas w odwiedziny ciotka i wręczyła mi czekoladkę. Ku osłupieniu wszystkich podskoczyłem do góry i zawałem moim dziecinnyim głosem: hup, sa, sa. Ojciec, człowiek niezmiernie wrzliwy (grywał w szachy z Przybyszewskim) nic nie powiedział, tylko wziął swoją laseczkę i wyszedł na miasto. Powrócił z pełnym wydaniem dzieł Karola Kuryluka, które wręczył mi z powagą. Zatopiłem się odrazu w tę lekturę, zapominając o świecie bożym, jako lojalny już wówczas marksista.

Znacznie później, w czasach gimnazjalnych, wracałem kiedyś ze szkoły wzburzony sprzeczką z moim kolegą Antosem Wazonnikiem. Pod tym impulsem zatrzymałem się koło muru i napisałem kredą: „Antos Wazonnik jest łobuzem i dam mu w mordę!” Jakis przechodzień zatrzymał się i wykrzyknął: „Ależ to niezwykły talent literacki!” Był to Alic Pręger (ten sam), przedstawił mi się i zaprowadził mnie do klubu literackiego „Bzdet”, gdzie przed wszystkim musiał mnie do zarecytowania: „Antos Wazonnik jest łobuzem i dam mu w mordę!” Trudno opisać entuzjazm z jakim przyjęto ten mój debiut! Oczywiście natychmiast przyjęto mnie do tego klubu, gdzie w ciągu wielu lat działałem, dyskutowałem i pisałem, aż do ostatecznego rezultatu, czyli absolutnego bezwstydu w wypisywaniu minoderyjnych bzdur na własny temat.



Obraz pędzla Wł. Strzemińskiego

Poeta i córka

(Sopoty, lato 1946 r.)

Rozstrzygnięcie drugiego konkursu literackiego „Odrodzenia” na temat

„Mój stosunek do pierwszego konkursu literackiego „Odrodzenia”

Za najtrafniejszą odpowiedź pierwszą nagrodę, — „Mury Jerycha” Tadeusza Brezy, — otrzymała Magdusia Dygatówna, ur. w roku 1945.

Pomiędzy uczestników konkursu rozlosowano szczyrzyk, ofiarowany przez laureata pierwszego naszego konkursu, Jerzego Beredę, ucznia I klasy. Szczyrzyk przypadł w udziale Konstantemu Grzegorzewskiemu, konduktowi II klasy w Nowym Sączu.

Komplety „Odrodzenia”, których nie chcieli odebrać uczestnicy pierwszego konkursu, przesłane zostały wszystkim uczestnikom drugiego konkursu przesyłkami poleconymi.

— To właśnie są skutki tego i owego — powiedział milcząc ponuro Prawdzic.

— Zapewne — odrzekł zapałając papierosa Niezłomnicki — ale nie trzeba zapominać o tamtych i owym.

Prawdzic zapalił papierosa:

Nasze pokolenie było, przed wojną takie i owakie.

Niezłomnicki podrapał się w kolano:

— Ale czy dlatego my mamy być dzisiaj jacy tacy?

Prawdzic zgasił papierosa:

— Tacy? Zapewne. Ale czy rzeczywistość dzisiejsza dopuszcza to abyśmy mieli być jacy?

Niezłomnicki zapalił papierosa:

Wspólnie?

Prawdzic podrapał się w ucho:

To też.

Niezłomnicki zgasił papierosa:

Tak. Ale mnie nie chodzi o to, tylko o tamto.

Prawdzic zgasił papierosa:

— Ba — powiedział i poczuł że powiedział za dużo. Tak. O wiele za dużo. Za dużo o 12 odcinków w Odrodzeniu.

(dalszy ciąg niestety nastąpi)

Julian Przybós w przekładzie na polski

Złośliwym insynuacjom, jakoby poezja Juliana Przybosia nie była jasna i zrozumiała, kładzie kres dokonana niedawno próba przekładu utworu tego poety na polską mowę wierszowaną. Pozwalamy sobie przypomnieć ostatni utwór Przybosia, pomieszczony w numerze 114 „Odrodzenia”:

STRBSKE PLESO

Już witając — w pożegnaniu
wyciągnąłem ramię — jadę
jakby drogę wzdłuż fal Wagu
za ślad twojej ręki biorąc
niżej
nagiął
— w końcu palców błysnęły jezioro,
pierścień gór ze smaragdem —

Mijas się — pytając — ze mną
o górę — wyżej gotowa,
o wodę — zielonej niska,
wołasz —
i moje wspomnienie wywołujesz na zewnątrz:
pierścień błyska
i Strbske Pleso
faluje od brzegu twoich ust rozchylonych —
do słowa.

Jakże prosto wygląda ten sam wiersz w przekładzie Cezarego Bambusiakiewicza:

Ja cię witam, a ty zdala
Żegnasz mnie, kiwając dłonią,
Tam gdzie Wagu bystra fala
Smaragdową błyska tonią.

Ja tam sam, pod górą sporą,
Nad zieloną wodą stoję...
A to wcale nie jezioro! —
A to tylko usta twoje...

Całe szczęście, że w tej chwili
Nie rozstałem się z noteseem.
By świat wiedział o czym kwilił
Jljn Przbś nad Strbskiem Ple-Plesem.

Jak patrzeć na obrazy współczesne

Raz jeszcze wracam do nagłej sprawy upowszechnienia kultury. Niedotężnie tej sprawie służyły artykuły dr Dobrowolskiego i Przybosia („Hermetryk i emetyk”, „Monoklem i nosem w obraz”, „Nie odpowiadam” oraz „Oko płaza i oko ptaka”). Śmiech ironiczny wstrząsa mną w pustym pokoju, kiedy uczony profesor patrzy na współczesny obraz i w dzi smaczną sałatę. Nie mogę tego poważnie traktować człowieka, który nie wie, że impresjonści są realistami, a na Zachodzie dawno już przestano mówić o realizmie. Ha, ha, ha! Profesor staje nawprost obrazu (uwaga! — nawprost!), wkłada szkiełko, a potem oko. Prawym okiem widzi wszystko co jest poza ramą obrazu, lewym szkiełkiem — wszystko, co jest pod ramą. Patrzy jak zezowaty ślepiec i nie widzi zestroju barw, które tworzą dodatkową przestrzeń malarską. I oto po dwudziestu latach studiów zdradził się również Julian Przybós, że nie umie patrzeć na obraz. Przybós staje nawprost obrazu, jak każdy profesor, już to samo dyskwalifikuje go artystycznie. Potem Przybós zapuszcza żurawia w płaskoprzestrzenną wizję Bonnarda, jak w impresjonistyczny damski dekolt. Żuraw jest tylko ptakiem i nie uniesie ze sobą w przestrzeń ludzkiej czułości. Ja patrzę na obrazy inaczej! Przede wszystkim ufam malarzowi i staję pod tą samą ścianą, na której wisi obraz, obracam się wraz z malarzem ku promieniowi dnia. Tak oto zestrąjam się z obrazem i unikam widzenia tego, co jest obok rami, gdyż to obok sam sobą zapełniam. Potem wypuszczam oko jak samolot. Trzeba, aby oko zatoczyło zwięzy opływowy łuk i wpadło w sam środek zestroju barwooprzestrzeni, przebiło je nawylot, szubując poprzez zrudzenie płaskiej powierzchni włąb aż do tego miejsca, gdzie strefa różowości, która cieszy serce, rozciąga się w horyzoncie, któremu sprzyja mój umysł. Wtedy ono przesłizgnie się ruchem wstępującym przez taras zbudowany ze światła i dotrze do dna przyszłości. Tak, ale do tego nie wystarczy oko, wykarmione na salacie, którą profesor jada w niedzielę, trzeba mieć pracowity samolot, czułego lotnika i odpowiedni przyrząd wewnętrzny do ścisłych pomiarów epoki, którą malarstwo wyraża.

Dr Julian Przybrowski

W pracowniach pisarzy i uczonych

Ankieta „Odrodzenia”

Zofia Szewczykowska: Prócz noweli p. t. „Długko” którą złożyłam w r. 1927 w Związku Zawodowym Literatów Polskich, Oddział w Krakowie, i tekstu ogłoszenia prosku do zębów Hezadont, drukowanego w „Odrodzeniu”, mam na warsztacie powieść psychologiczną „Brońca” (tematyka obejmująca życie i martyrologię pisarzy polskich na ul. Basztowej).

Utwór sceniczny „Kłosy”, przechowywane w ziemi, puściły korzenie i dały mi w roku ubiegłym pół kilo maki żytniej.

Tadeusz Różewicz. Oo szeregu lat pracuję nad artykułem p. t. „Jak zostałem pisarzem?” „Jak zostanę pisarzem i dostanę nagrodę „Odrodzenia”, przestanę pisać wiersze i znajdę sobie odpowiednie zajęcie.

Apolonia Wypłoz: Po za trzema artykułami, drukowanymi w r. 1922 w „Kurierze Warszawskim” napisałem trzy powieści obyczajowe i siedem poematów dramatycznych, ale wszystko spaliło mi się podczas powstania. Kilka innych większych prac skradziono mi w E. K. D. a dwie w autobusie. O utworach tych może wydać opinię moja córka, przebywająca chwilowo w Kanadzie. Pomimo tak poważnego dorobku literackiego, dotąd nie otrzymałam mieszkania w domu literatów, co bardzo mi utrudnia pracę twórczą, gdyż mieszkam w Pabianicach w dwóch pokojach razem z mężem i siostrą, która wypieka torty, oraz z kuzynką, ciężko chorą na łupież. Zresztą nie mam kiedy jej wyczesać, gdyż piszę teraz sztukę sceniczną p. t. „Wielkanoc”, opartą na pomysły Otwinowskiego. Jeszcze raz proszę o mieszkanie i o jakieś przydział dla mnie i dla siostry.

Jerzy Zawieyski: W przygotowaniu mam dramatu p. t. „Ma słowa”. Jest to dramat miejscowo-wiejski, ale nie za wiejski, raczej starowiejski i w pewnym sensie wielowiejski. Recenzje w opracowaniu.

Wacław Kubacki, Kubički, Kubik, Kubiak, Kubiś: Mam w opracowaniu i w przygotowaniu plany na przyszłość.

Szymon Idzik: Pierwsze pytanie ankiety brzmi: Czy i jaką książkę pan wydaje? To pierwsze pytanie winno, moim zdaniem, brzmić raczej tak: Jakie pańskie książki czekają na wydanie?

Otóż, pomijając utwory, które zginęły w powstaniu warszawskim, — mam 135 kg netto rękopisów a, jak dotąd, w ciągu ostatnich piętnastu lat wykrukowano mi tylko ogłoszenie o tem, że zgubiłem dowód osobisty i kenn kartę.

W takich warunkach, oczywiście, nie może być mowy o normalnej pracy pisarza polskiego.

STEKI

Dr. PROT A SOWIZDRZAŁA

(W papierach dr. Prot A Sowizdrzała znajdują się na luźnej kartce bajka Jana Jablecznika, którą tutaj wiernie przedrukujemy)

Prot i Wacław

Powiedział raz przy wódecie doktor Prot Sowizdrzał:

— „Dość już Wacław Kubacki do mnie się wymydrzał,
„Za to, że mnie wymyślił, niechaj go
ozłocą,
„Ale kto Kubackiego wymyślił i po co?
— podał do druku Wacław Kubacki

Czytajcie i prenumerujcie nasz braćni tygodnik

„NOWINY LITERACKIE”

K O R E S P O N D E N C J A

NIE SANDAUER Z KURLUKOWĄ

A SWINARSKI

Zszanowny Panie Redaktorze! „Odrodzenia” ukazał się wiersz Sandauera i essay Marii Kuryluk.

W związku z tem oświadczam, że noszę a równo imię Artur jak i imię Maria.

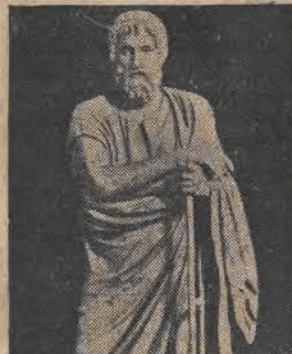
Artur Maria Swinarski (Kraków)

JESZCZE RAZ O SOBIE

Sandauer jest Artur
I ja jestem Artur,
Niby wspólny start tu, —
Dąbrowska jest Maria
I ja jestem Maria,
Niby wspólna aria.
Lecz oni odeszli w cień już,
A ja ciągle jestem geniusz.

Artur M. Swinarski

KRONIKA ILUSTROWANA



HOMER

znany poeta młodego wieku osiągnął sławę



LIDIA ŁOPATYŃSKA

znana pisarko, mimo młodego wieku obchodziła niedawno jubileusz pięćdziesięciolecia pracy krytyczno-literackiej



Przedstawiciel egzystencjalizmu na Polskę